CENA 2 ZŁ

LUBLIN BIAŁYSTOK KIELCE RZESZÓW

Kamena

LUBLIN 30.III. 1969 Nr 7 (414) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY Wychodzi od 1933 r.

Zasłyszane i podsłuchane

Konrad Bielski

ZEBRAŁO mi się na wspomnienia. Tym razem wrócę jeszcze raz do Lublina, a właściwie do ludzi z miastem tym związanych. Osobliwością moich wspomnień będzie to, że mówić zamierzam o osobach, których osobiście nie znałem, a przeważnie nawet nie widziałem na oczy. Słyszałem tylko o nich wiele od znacznie starszych ode mnie stryjów, wujów, ciotek, ich przyjaciół i znajomych. Rozmowy te toczyły się rzadko ze mną, najczęściej bez mego bezpośredniego udziału, ale zawsze przy mnie. Dotyczyły przeważnie ludzi powiązanych ściśle z Lublinem; dużo anegdot i ucieszych historyjek.

Pisali już o nich nieraz różni przyczynkarze i kronikarze, podpierając swe informacje dokumentem, wyciągiem z prasy lub cytatem z książki. Ja mam zamiar inaczej. Moją dokumentacją jest własna, dobra pamięć, która, jak dotychczas, działa niezawodnie, no i autorytet tych, którzy opowiadali, oraz ciężar gatunkowy ich słów.

Ileż to razy, jeszcze jako uczeń, później młody student, byłem uczestnikiem raczej biernym, ale za to bardzo uważnym, ciekawych gawęd, świetnych anegdot i pasjonujących sporów dookoła postaci wybitnych lubliniaków. Jak na taśmie magnetofonowej utrwaliło się to wszystko w mojej głowie; teraz pragnę na razie małą część tej taśmy nagrać i odtworzyć. Czy tak było naprawdę, czy to, co napiszę, odpowiada rzeczywistości? Sądzę, że tak, bo choć opieram się w zasadzie tylko na plotce i zasłyszanej anegdocie i polegam na prawdomówności tych, którzy je przekazali, to jednak opowiastki te posiadają tyle rumieńców życia i tak świetnie mieszczą się we właściwym czasie — że nie mogą być zmyślone.

Bożdźcem wywoławczym była dla mnie książka Augusta Grychowskiego „Lublin w życiu i twórczości pisarzy polskich", opublikowana przed kilku laty (1965) w naszym Wydawnictwie. Chciałem nawet ją recenzować, ale później tego zaniechałem. Książka rzeczowa, solidna, braki i niedopatrzenia niewielkie, oparta na gruntownych studiach i bogatym materiale dowodowym — ale ani jednej anegdoty, żadnej plotki lub dykteryjki, które przecież nie szkodzą, lecz ożywiają najpoważniejsze dzieła. Wszystko ubrane w poważną togę naukowca. Spróbuję więc na marginesie tej książki rozsnuć swoją gawędę i postaram się zajrzeć, co niejednokrotnie pod tą togą się kryje.

Otwieram więc na dowolnej stronicy i czytam. Autor pisze o Andrzeju Strugu. Urodzony lublinianin, tu ukończył szkołę, tu rozpoczął swą pracę konspiracyjną i tak dalej, ale tu również przeżywał wszelkie porywy i wzloty swojej bujnej młodości i tu zaznał upojenia i udręki pierwszej miłości. Tak się dziwnie złożyło, że ja właśnie o tej miłości mogę coś niecoś napisać, a wiem to z najlepszego źródła, bowiem z ust tej osoby, która była przedmiotem westchnień i uczuć. Jako bardzo młody człowiek stałem się powiernikiem tajemnicy i zapamiętałem ją na zawsze.

W najpiękniejszej książce Struga — „Dziejach jednego pocisku" — jest takie miejsce, cytowane zresztą u Grychowskiego, gdzie bohater powieści, Marek, alias sam Strug, wspomina swą młodość w Lublinie, uroki miasta i łąk nad Bystrzycą i plaże również:

O pannie Anieli, w której się kochał jeden i o cudnej pannie Kazi, za którą szalał drugi. Co też się dzieje z tymi dziewczętami, bez których żyć nie mogli. (...) O wielogodzinnych kąpielach na owych Rurach, gdzie łapało się również raki, obkuwało się na egza-

Dokończenie na str. 9

Fot. Mieczysław Ryczaj

W numerze m. in.:

J. Dostatni
MARCOWA MOBILIZACJA

•

W. Jaworski
WALKA Z „MŚCICIELEM"

•

R. Karaś
PODRÓŻE BLISKIE I DALEKIE

•

R. Wiśniewski
PANIE HRABIO HERBATKA!

Tropem ludzi majora Hubala

Mirosław Derecki

Trzy spotkania z Lublinem

Niniejszym odcinkiem kończymy cykl artykułów poświęconych żołnierzom oddziału majora Hubala, oddziału, który walkę z najeźdźcą kontynuował jeszcze przez prawie dziewięć miesięcy od zakończenia kampanii wrześniowej. Równocześnie redakcja zwraca się do czytelników o nadsyłanie opinii na temat zaprezentowanego cyklu, zaś do osób bezpośrednio lub pośrednio związanych z przedstawionymi wydarzeniami — o ewentualne uzupełnienia. (RED)

OSTATNIE egzaminy wypadły w połowie 1939 r. Po ich zdaniu Markowi Szymańskiemu i jego kolegom pozostawało już tylko uklęknąć na rozłożonym na dziedzińcu szkoły kobiercu i otrzymać uderzenie szablą w ramię — ostateczne przypieczętowanie pierwszej upragnionej gwiazdki. Uroczysta promocja na podporuczników miała się odbyć w warszawskiej Szkole Podchorążych Saperów 2 września 1939 r. Nie odbyła się. Dzień wcześniej wybuchła wojna.

Podporucznika Szymańskiego zastała ona w 28 batalionie saperów 28 dywizji piechoty w Armii Łódź. Otrzymał tam przydział w końcu sierpnia. Budował ze swym plutonem umocnienia w rejonie Widawki. W nocy z 4 na 5 września przyszedł rozkaz z dowództwa, żeby opuścić nie dokończone roboty i dołączyć do kompanii. Ale kompanii na dawnym miejscu postoju już pluton nie zastał. Na przybyłych czekał natomiast dowódca kompanii, który wydał Szymańskiemu kolejne polecenie: niszczyć linię telefoniczną na drodze z Rogóźna do Łaska, zaś w samym Łasku zdemontować centralę telefoniczną. Mieli jeszcze wysadzić w powietrze pobliski most kolejowy, ale nie dostarczono im na czas materiałów wybuchowych. Wtedy uświadomili sobie, że odwrót nie przebiega w zupełnym porządku. Urwała się łączność z kompanią, przestały przychodzić rozkazy. Młody podporucznik po raz pierwszy sam musiał podejmować ważkie decyzje, kierować losem powierzonych mu kilkudziesięciu ludzi. Z wielu zadań bojowych, które obiecywał sobie wykonać podczas tej wojny, pozostało mu już właściwie tylko jedno: dołączyć do macierzystej jednostki.

Rozpoczyna się wielodniowa pogoń za cofającym się batalionem. Gdzieś pomiędzy Pabianicami a Łodzią spotykają inny pluton saperów pod dowództwem chorążego Laufra, byłego instruktora ze szkoły podchorążych. Idą już razem do Warszawy, następnie pod Garwolin, gdzie według pogłosek miał się zainstalować sztab macierzystej dywizji. Tam dowiadują się, że 28 batalion saperów cofa się przez Lubelszczyznę na południowy wschód. Jest 10 lub 11 września. Obydwa plutony stopniały w sumie do 40 żołnierzy. Maszerują przez Chełm, Włodawę, aby wreszcie, prawie pod sam koniec kampanii wrześniowej, odnaleźć batalion pod Tyszowcami. I taki jest dla podporucznika Marka Szymańskiego koniec września, koniec kampanii przemaszerowanej bez wystrzału z zachodu na wschód przez pół Polski.

* * *

Droga do domu rodzinnego, do Końskich wiodła przez Lublin. Po raz pierwszy wówczas zetknął się z Lublinem. Mimo dwutygodniowego pobytu niewiele jednak zapamiętał z jego wyglądu. Tyle, że miasto było rozbite, okopcone. Zresztą całodzienna praca w szpitalu wojennym, zorganizowanym w jednej ze szkół, nie pozwalała na zwiedzanie Lublina. Nie interesował się, przy jakiej ulicy znajduje się jego

Dokończenie na str. 6

Matenadaran skarbiec kultury i nauki

Mirosława Zakrzewska-Dubasowa

ARMENIA w roku ubiegłym obchodziła uroczyście rocznicę założenia jednej ze swych starożytnych stolic — Erewania. Minęło 2750 lat od chwili, gdy władca Urartu Argiszti położył podwaliny pod miasto Erebuni, zwane z czasem Erewaniem. Tutaj właśnie znajduje się instytucja przyciągająca uczonych całego świata: Instytut Dawnych Rękopisów im. Masztoca przy Radzie Ministrów Armeńskiej SRR „Matenadaran".

Obok źródeł materialnych, odkryć archeologicznych i zabytków starej architektury, sięgających IV wieku, których obfitość sprawia, iż Armenię nazywa się muzeum pod otwartym niebem, istnieją w tym kraju olbrzymie zbiory rękopiśmienne. Zawierają one wiadomości nie tylko dotyczące Armenii, ale wielu innych krajów Bliskiego i Dalekiego Wschodu oraz europejskich. Burzliwe dzieje Armenii, która nieustannie była przedmiotem napaści ze strony silniejszych sąsiadów, spowodowały, że wiele z tych bezcennych ksiąg przepadło bezpowrotnie lub stało się łupem najeźdźców. Jednak olbrzymia ich liczba ocalała.

Głównym zrębem Matenadaranu stały się zbiory rękopiśmienne Eczmiadzynia, armeńskiej stolicy kościelnej. Było to archiwum założone w wieku V. W ciągu stuleci gromadzono tu setki armeńskich manuskryptów zbieranych z różnych klasztorów. Bardzo sprzyjające warunki dla rozwoju Matenadaranu datują się od czasu przyłączenia Wschodniej Armenii w 1828 roku do Rosji. Zaczyna się też wkrótce prowadzić prace nad porządkowaniem i katalogowaniem zbiorów. W roku 1915 dołączono zbiory pochodzące z klasztorów Zachodniej Armenii. Dostarczyli je uciekinierowie spod ucisku tureckiego. W ten sposób uchroniono przed spaleniem 1545 rękopisów.

W roku 1920, po przystąpieniu Armenii do ZSRR, zaszły daleko idące zmiany. Matenadaran stał się w dniu 17 października placówką państwową. W roku 1922 wróciły rękopisy ewakuowane podczas pierwszej wojny światowej, do nich dołączono również część z innych kolekcji. W roku 1939 zasoby Matenadaranu przeniesiono z Eczmiadzynia do Erewania, a w roku 1959 archiwum przekształcono w instytut naukowo-badawczy. Na potrzeby tej placówki wybudowano wspaniały gmach, którego konstrukcja opiera się na wzorach staroarmeńskiej architektury, z wnętrzami dostosowanymi do nowoczesnych potrzeb.

Zasoby Matenadaranu obejmują obecnie 10.500 rękopisów i ksiąg oraz około 4000 fragmentów. Nie jest to jednak całość zachowanych źródeł, gdyż ogólna ich liczba dochodzi do 25.000. Rozproszone są po całym świecie. Między innymi w Jerozolimie w klasztorze św. Jakuba, w Wenecji w klasztorze mechitarystów na wyspie św. Łazarza, w Wiedniu, Paryżu, Londynie, Konstantynopolu, Nowym Jorku i innych bibliotekach świata. Część fragmentów zachowała się wszyta w oprawy, inne jako luźne karty. Oprócz rękopisów w języku armeńskim Matenadaran przechowuje około 10.000 ksiąg i dokumentów w językach perskim, arabskim, żydowskim, łacińskim oraz słowiańskich.

Wobec dużej liczby turystów i zwiedzających, dosłownie z całego świata, urządzono stałą ekspozycję najciekawszych zabytków. Szczególnie miły sercu każdego Polaka jest fakt, iż wśród najcenniejszych eks-

Dokończenie na str. 3

teatrnn.pl

Kultura 1969

Zmarli

✡ W wieku 68 lat — Anna Kowalska, literatka i filolog, wyróżniona w 1951 r. Państwową Nagrodą Artystyczną. Do 1948 r. pisała razem z mężem, Jerzym Kowalskim, następnie wydała samodzielnie m. in. „Opowiadania greckie". Była założycielką i przewodniczącą Koła Miłośników Literatury i Języka Polskiego we Wrocławiu.

Literatura

✡ „Pisarz, którego lubi naród" — to tytuł artykułu o Iwaszkiewiczu, który z okazji jego 75-lecia ukazał się w moskiewskich „Izwiestiach".

✡ W marcu minęła 150 rocznica urodzin Narcyzy Żmichowskiej. I właśnie w tym miesiącu ukazała się książka Mariana Stępnia „Narcyza Żmichowska", wydana przez PIW w serii „Ludzie żywi".

✡ PIW wyda w tym roku dwie pozycje poświęcone Gałczyńskiemu: Marty Wyki-Hussakowskiej „K. I. Gałczyński" oraz listy Gałczyńskiego i Tuwima z ostatnich lat życia obu poetów.

✡ W Rumunii ukazał się pierwszy całkowity przekład „Potopu" Sienkiewicza. Autorką przekładu i obszernych przypisów jest Olga Zajczik, nakład 150 tys. egz.

✡ W NRD ukazał się tom opowiadań Kazimierza Brandysa w tłumaczeniu kilku osób.

✡ Nagrodę poetycką im. Guillaume Apollinaire we Francji tradycyjnie przyznawano młodym poetom. W tym roku otrzymał ją 74-letni Albert Fabre za debiutancki tomik „La Lumiere nommée". W ciągu ostatnich 40 lat zajmował się handlem.

Sztuka

✡ Członkowie ZPAP i studenci wyższych szkół plastycznych mogą wziąć udział w międzynarodowym konkursie na flagę międzynarodowej wystawy „Expo-70" w Osaka. Trzy równorzędne nagrody po 7 tys. zł otrzymają autorzy najlepszych prac polskich, niezależnie od tego pierwszą nagrodą w konkurencji międzynarodowej jest 10-dniowy pobyt w Japonii dla dwóch osób oraz 5 tys. dolarów.

✡ Istnieje projekt zorganizowania Muzeum Polskiego Kamieniarstwa w Chrzanowie. W okolicach tego miasta przed 400 laty narodziło się polskie kamieniarstwo.

✡ W Amsterdamie otwarto trzecią już w tym roku wystawę tkanin artystycznych, wykonanych przez polskich artystów.

✡ W Panamie wydano serię znaczków poświęconych zwierzętom w malarstwie. Z ośmiu znaczków jeden przedstawia reprodukcję obrazu „Dama z łasiczką" Leonarda da Vinci, znajdującego się w Muzeum Czartoryskich w Krakowie.

✡ 220 artystów nadesłało 800 dzieł na wystawę rzeźb w drzewie, urządzaną co roku w Genewie. Do wystawienia zakwalifikowano 409 rzeźb. Pierwszą nagrodę zdobyli równorzędnie: Japończyk Kunihiro Amano, Szwed Stenquist i Klaus Menzel z NRF.

✡ W Hanoi otwarto wystawę fotografii 50 najlepszych dzieł rzeźbiarskich Augusta Rodina.

✡ W jednym z pałaców w Mantui pod freskiem z XVIII w. odkryto inny fresk, wykonany przez znakomitego artystę Pisanello na przełomie XIV i XV w.

✡ „Łowcami głów" nazwała prasa włoska osobników, którzy kradną głowy rzeźb, znajdujących się w parkach i na skwerach, sprzedając je następnie na czarnym rynku. W ostatnich latach skradziono kilkadziesiąt głów bożków, konsulów, senatorów, wodzów i oratorów. Jeśli tak dalej pójdzie — pisze „Messagero" — to nadejdzie czas, gdy w Rzymie nie będzie ani jednej głowy na karku, w każdym razie — marmurowej.

✡ Wśród historyków sztuki zaniepokojenie. Obraz „Rodzina święta wieczorem", od lat przypisywany Rembrandtowi, ma być — zdaniem wybitnego fachowca prof. Gersona — dziełem Gerarda Dou, ucznia Rembrandta.

Teatr

✡ 27 marca po raz ósmy obchodzono na całym świecie Międzynarodowy Dzień Teatru. W Polsce obchody przebiegały pod hasłem „Teatr i młodzież".

✡ Studencki Teatr Miniatur Uniwersytetu Moskiewskiego wystawił sztukę Jerzego Broszkiewicza „Dwie przygody Lemuela Guliwera".

✡ W Teatrze Dramatycznym w Irkucku zadebiutowała młoda polska reżyserka Matylda Krygier, reżyserując szereg jednoaktówek Czechowa i Brechta.

✡ Reakcyjna prasa włoska podjęła kampanię przeciwko obecnemu dyrektorowi mediolańskiego Piccolo Teatro, ponieważ wystawił ostatnio sztukę Brechta, a po niej radziecką i dramaturga francuskiego pochodzącego z Rosji.

✡ W połowie kwietnia w „Centrum skandynawskim sztuki aktorskiej" w duńskiej miejscowości Holstebro odbędzie się międzynarodowe seminarium poświęcone współczesnym mimom.

✡ W paryskim teatrze „Mathurins" wystawiono sztukę „Szantaż w teatrze" Dacia Maraini. Krytycy uznali, że sztukę napisano i wystawiono tylko dlatego, aby pokazać najnowszą kolekcję mody męskiej.

✡ Teatr Popularny w Szwajcarii romańskiej wystawił starą sztukę chińską w tłumaczeniu Francuza Pierre Grappin i adaptacji Niemca Guenthera Weisenborna.

Muzyka

✡ 10 zespołów zagranicznych i 5 polskich weźmie udział w Festiwalu Dawnej Muzyki Europy Środkowej i Wschodniej, który odbędzie się w Bydgoszczy w dniach 4—9 września. Festiwalowi towarzyszyć będą „Bydgoskie dni sztuki", a w ich ramach m. in. międzynarodowa wystawa pod nazwą „Temat muzyczny w plastyce Europy Środkowej i Wschodniej". Teatr wystąpi z prapremierą polskiej sztuki renesansowej „Albertus z wojny".

✡ Z okazji 200 rocznicy urodzin Beethovena, która przypada w roku przyszłym, wytwórnia „Eterna" w NRD wyda do końca 1972 roku 100 płyt z nagraniami twórcy IX symfonii w wykonaniu najlepszych solistów i dyrygentów świata.

5 tysięcy koncertów dla 1 750 tys. słuchaczy, zarówno w jednostkach wojskowych jak i dla ludności cywilnej — oto dorobek Orkiestry Reprezentacyjnej Wojska Polskiego, która właśnie obchodzi 25-lecie istnienia. Wysoki poziom artystyczny, jak i bogaty repertuar, obejmujący dotychczas ok. 2 tys. pozycji, czyni z niej placówkę o wielkiej wartości kulturalnej.

✡ Reżim sajgoński skonfiskował płyty i taśmy z nagraniami najpopularniejszego w Południowym Wietnamie piosenkarza Czin Kong Szona. Za publiczne śpiewanie jego piosenek grozi wysoka grzywna. Piosenki Czina są antywojenne.

✡ Po paroletniej przerwie Maria Callas podjęła pracę, nagrywając na płyty recital, poświęcony Verdiemu. Niedługo ma także wystąpić na deskach operowych, najpierw w USA, potem we Francji.

✡ Furorę na estradach amerykańskich i europejskich robi 24-letni pianista brazylijski Nelson Freire. Najczęściej grywa utwory Czajkowskiego.

✡ Trzech spośród czterech laureatów ostatniej nagrody dla kompozytorów im. Dymitra Mitropoulosa w Nowym Jorku poza nagrodą otrzymało stanowiska zastępców dyrygenta orkiestry filharmonicznej w tym mieście. Czwarty laureat otrzymał pracę w operze w Monte Carlo.

Film

✡ Na przełomie czerwca i lipca odbędzie się w Zielonej Górze ogólnopolska impreza Lubuskie Lato Filmowe „Łagów 69". Obejmie ona przegląd 12 filmów, wyprodukowanych od początku 1968 r.

✡ Andrzej Wajda realizuje dla telewizji dwugodzinną filmową wersję „Makbeta" z Tadeuszem Łomnickim i Magdaleną Zawadzką w rolach głównych.

✡ Radziecki pisarz Jurij Nagibin przygotowuje scenariusz filmu fabularnego, którego bohaterem będzie tragicznie zmarły pierwszy kosmonauta świata Jurij Gagarin. Tytuł filmu — „U źródeł legendy".

✡ Reżyser radziecki Aleksander Spieszniew przystępuje do nakręcenia filmu fabularnego, poświęconego Patrice Lumumbie, bohaterowi narodowemu Konga.

Różne

✡ 200 podkrakowskich wsi przygotowuje się do przeglądu artystycznego „Wesele krakowskie", organizowanego w oparciu o nowo utworzony Teatr Regionalny w Krakowie. Występy będą odbywały się w Barbakanie i na Rynku.

✡ W październiku odbędą się w Polsce „Dni Kultury RFSRR". Wystąpią zespoły pieśni i tańca, wokaliści, instrumentaliści, zobaczymy wystawy plastyczne i filmy.

✡ Stanisław Mikulski rozpoczął nową karierę — prezentera muzyki rozrywkowej. W każdą niedzielę o godz. 21,21 na falach programu III przedstawia swoje ulubione melodie, zarówno współczesne jak i dawne.

✡ IV międzynarodowy festiwal baletowy odbędzie się w Monte Carlo w dniach od 29 czerwca do 14 lipca.

✡ Georges Balanchin, żyjący od wielu lat w Nowym Jorku najlepszy uczeń słynnego choreografa rosyjskiego Sergiusza Diagilewa, ma przybyć na dłuższy pobyt do Genewy. Chce w tym mieście utworzyć europejski odpowiednik słynnego zespołu „New York City Ballet".

✡ Po 15 latach pracy w Amsterdamie oddano do użytku nowy gmach biblioteki „Albertine", wybudowany kosztem 18 mln dolarów. Biblioteka posiada 2,6 mln woluminów, w tym 31 tys. rękopisów i 35 tys. inkunabułów.

✡ Erich von Daeniken jest znanym w NRF autorem powieści popularnonaukowych, z których ostatnia „Wspomnienia z przyszłości" stała się bestsellerem. Daeniken, który jest zarazem szefem pewnego hotelu, został ostatnio aresztowany w Szwajcarii za próbę przemycenia pół miliona franków szwajcarskich.

Ta angielska blondyneczka, Veronica Carlson, nagrywa obecnie film razem z Rogerem Moore („Świętym"). Połowa naszej redakcji twierdzi, że jest ona podobna do Beaty Tyszkiewicz — druga połowa — że Beata do niej.

Kamena str. 2

Co nowego w literaturze NRD?

Bożena Kowalowa

OSIĄGNIĘCIA literatury pięknej Niemieckiej Republiki Demokratycznej w ostatnich kilku latach nie ograniczają się do pozycji najbardziej znanych czytelnikowi polskiemu, jak np. powieści: Erwina Strittmattera „Ole Pszczeli Łeb", Hermanna Kanta „Aula", czy też poezje Georga Maurera, Gunthera Deicke i Helmuta Preisslera. Literatura NRD, której głównym tematem — obok obrachunków z przeszłością — jest akceptacja budowy socjalizmu w kraju, wzbogaca się stale o nowe nazwiska.

Autorzy dążą do ukazania dynamicznego obrazu człowieka w określonym etapie historycznego rozwoju — w przeciwieństwie do biernej i zrezygnowanej postawy bohaterów dzieł szeregu pisarzy zachodnioniemieckich.

Ostatnio wydane antologie i almanachy kontynuują w poezji nurt rozpoczęty około 1962 r. przez debiutujących wówczas takich autorów jak Volker Braun, Heinz Czechowski, Karl Mickel oraz małżeństwo Kirsch. Przy dużym zróżnicowaniu stopnia dojrzałości artystycznej i światopoglądowej łączy najmłodszych przede wszystkim akcentowanie przynależności do literatury swojego kraju (Andreas Reimann „Poszukiwanie drogi"); poparcie dla walk ludu wietnamskiego (Wolfgang Tilgner „Pieśń dżungli", Gerd Eggers „Agresorzy"). II wojna światowa odgrywa również pewną rolę w niektórych debiutach. I tak np. Urlich Berkes w wierszu „Wizje niemieckie" każe martwym i żywym wraz z otaczającą ich naturą wnieść oskarżenie przeciwko wojnie faszystowskiej.

Młodzi wzbogacają nowym spojrzeniem lirykę miłosną NRD. Klaus B. Tragelehn sięga swym wierszem pt. „Noc" do elegii w klasycznym tego słowa znaczeniu, poświęcając równocześnie dużo uwagi możliwie wielostronnej analizie wzajemnych stosunków pomiędzy zakochanymi. W nowy dla poezji NRD ton uderza również Uwe Gressmann, który nie poprzestaje „na powierzchni" opisywanych zjawisk, ale przetwarza poetycko Kosmos, unikając zarazem podawania czytelnikowi gotowych i uproszczonych rozwiązań.

Wytężona i odpowiedzialna praca nad wzbogaceniem i rozwojem ojczyzny i socjalizmu jest tematem wielu utworów Piotra Gosse, przesyconych swoistym, oszczędnym patosem. Nie tylko poprzez pochwałę „dobrej roboty", ale również polemikę z filisterstwem, wygodnictwem i ludzką obojętnością dąży autor do ukształtowania człowieka pełnego twórczego niepokoju.

Inny debiutant, Axel Schulze, akcentuje istnienie obok siebie dwóch równie ważnych elementów krajobrazu swego kraju: domów wiejskich i fabrycznych kominów. Powracający w jego wierszach motyw dymu ucieleśniać ma wtargnięcie człowieka do natury i jej przeobrażanie. Równocześnie autor chce czytelnikowi uzmysłowić fakt, iż socjalistyczny człowiek sam jest organiczną częścią otaczającego świata, co zresztą jest jedną z ważniejszych tendencji obecnej liryki NRD.

Wieś współczesna przedstawiana jest jako widownia ludzkiego działania, jej mieszkańcy tkwią w samym środku otaczającej ich przyrody, oni ją opanowują i przekształcają.

32-letni piewca okolic Miśni, Wulf Kirsten, nie ujmuje życia chłopów statycznie, ale w rozwoju historycznym, przy czym znajomość dziejów walk chłopskich i ich niedoli uchroniła go — przy odmalowywaniu uroków krajobrazu lat dziecinnych — przed romantycznym rozmarzeniem. Jego wiersze to idylle w pierwotnym tego słowa znaczeniu, unikające łatwizn i pseudonastrojowości, nasycone barwami i silne w wymowie. Słownictwo zbliża się poprzez swą jędrność do języka mieszkańców opisywanych okolic.

Dzięki dalekowzrocznej polityce kulturalnej w NRD, wszechstronnej pomocy i poparciu dla młodych adeptów sztuki pisarskiej, w dziedzinie poezji debiutują ostatnio obok nauczycieli i studentów, robotnicy i żołnierze, inżynierowie i brygadziści. Oczywiście, poziom tych debiutów jest bardzo różny, nie miejsce tu zresztą na ich ocenę, warto jednakże zwrócić uwagę na najciekawsze osiągnięcia tego charakterystycznego dla NRD zjawiska. Klaus Wolf, ślusarz w elektrowni Klingenberg w Berlinie, łączy w swoich wierszowanych „Fragmentach z kotłowni" w interesujący sposób własne myśli i marzenia z szerszą, społeczną perspektywą portretów swoich kolegów — ludzi pracy.

Inny robotnik, Hans-Joachim Nauschütz z okręgu Poczdam, wykorzystuje swoje impresje z podróży po Dalmacji, aby uczcić pamięć jugosłowiańskich partyzantów i zwrócić uwagę czytelnika na międzynarodowy aspekt walki z faszyzmem. Swymi utworami autor pragnie przyczynić się do ożywienia stosunków międzyludzkich, a pomaga mu w tym na pewno trafny wybór zastosowanych środków artystycznych.

Urodzony w r. 1951 Reiner Bonack, pracownik fabryki lokomotyw w Henningsdorf, zadebiutował wierszem pt. „Twarze owoców głogu". Autor opowiada tu o robotnikach, którzy wypoczywają na skraju lasu wśród krzewów głogu, niedaleko fabryki, w której pracowali dodatkowo na rzecz dzieci wietnamskich. Oto w wolnym tłumaczeniu fragment wiersza, przyjętego bardzo przychylnie przez krytykę:

„... druga zmiana nie dla nas,
lecz dla cierpiących dzieci z Wietnamu
o delikatnych twarzyczkach,
które wypaliły swój znak w naszych sercach.

Dla nich to leliśmy dzisiaj stal
i kazaliśmy jej zastygać.
Dzieci o delikatnych twarzyczkach towarzyszą nam,
nasze sny je chronią
i muskają leciutko jak wiatr,
tak jak nas — twarze owoców głogu
na skraju lasu".

Kolebką nowych talentów stają się w Niemieckiej Republice Demokratycznej szkoły średnie. W akcji pod nazwą „Otwarte okno" w samym okręgu drezdeńskim powstało około 300 utworów, z których najlepsze ukazały się w prasie.

Na uwagę zasługują wreszcie liczne młodzieżowe kluby śpiewacze, nawiązujące do tradycji przedwojennej liryki postępowej.

Obok szeregu utworów przeciętnych, zdarzają się tu teksty ambitne, jak np. wiersz Jürgena Degenhardta, poświęcony osobie Mikisa Theodorakisa, zatytułowany „Któż może zabrać wolność pieśniom"? i popularna pieśń Hartmuta Königa o konieczności podejmowania ważnych ideowych decyzji: „Powiedz mi, po której stronie stoisz!"

Być może, niektórzy z dzisiejszych debiutantów zyskają sobie prawo obywatelstwa w literaturze NRD na stałe, trudno już teraz o tym wyrokować, nie o to zresztą w końcu chodzi, zarówno piszącym jak i krytykom. Czytelnik odnosi wrażenie, iż ważniejsze jest tu raczej wychowanie młodego pokolenia poprzez literaturę, nauczenie go, że — w myśl maksymy Bertolta Brechta — pisarstwo jest działalnością społeczną, jest służba ojczyźnie. Wydaje się, iż najmłodsi poeci NRD tak właśnie swoją twórczość pojmują.

od BIEBRZY po BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

✡ Mieczysława Ćwiklińska w Białymstoku odchodziła swego rodzaju jubileusz. Właśnie w tym mieście po raz tysięczny zagrała w sztuce A. Casony „Drzewa umierają stojąc".

✡ Muzeum Okręgowe prowadzi od dłuższego czasu cykl spotkań z dziennikarzami i podróżnikami pod nazwą „Wędrówki egzotyczne". Te interesujące imprezy postanowiono prowadzić także w powiatowych domach kultury w Łomży i Sokółce.

✡ Białostocka Orkiestra Symfoniczna przygotowała estradowe wykonanie „Halki" Moniuszki. W koncercie premierowym udział wzięli: Orkiestra Symfoniczna pod dyrekcją Stanisława Malawskiego oraz artyści Teatru Wielkiego w Warszawie — Bożena Kinasz — Mikołajczak (sopran), Lesław Wacławik (tenor) i Jerzy Artysz (baryton).

✡ Klub Medyka ZMS „Herkulesy", najstarszy ZMS-owski klub w kraju, obchodził jubileusz 10-lecia. W ramach uroczystości jubileuszowych odbyło się wiele imprez, między innymi w Teatrze im. Al. Węgierki wystąpił Zespół Tańca Ludowego UMCS z Lublina.

Pomnik Adolfa Dygasińskiego w Pińczowie. Rzeźba Zygmunta Kaczora (sjenit) 1968 r. Fot. Jan Siudowski

KIELCE

✡ Teatr im. St. Żeromskiego z okazji 120-rocznicy śmierci Fryderyka Chopina przygotowuje przedstawienie złożone z listów wielkiego muzyka i kompozytora, pt. „Listy Chopina". Scenariusz opracowali Karol Stromenger i Maria Wiercińska. Reżyseria — Zdzisław Grywałd, scenografia — Jan Golka.

✡ W Kielcach odbyła się ogólnopolska sesja redaktorów depeszowych. Tematem sesji był rozwój Kielecczyzny w okresie 25-lecia PRL oraz perspektywy województwa.

✡ Staraniem Wojewódzkiego Ośrodka Informacji Turystycznej ukazało się kilka folderów i albumów: „Sztuka ludowa w województwie kieleckim", „Rezerwaty Krainy Świętokrzyskiej", „Jaskinie Ziemi Kieleckiej", „Krzemionki Opatowskie" i „Kafle z XIV—XVI w. w zbiorach Muzeum Świętokrzyskiego". Wydawnictwa są bogato ilustrowane, teksty opracowali wybitni znawcy regionu.

✡ W Sandomierzu odbyło się ogólnopolskie seminarium aktywu ZMW, poświęcone 50-leciu odzyskania niepodległości, zorganizowane przez Zarząd Główny ZMW. W seminarium oprócz około 100 aktywistów ZMW wzięli udział przedstawiciele KC PZPR, Polskiej Akademii Nauk, oraz młodzi naukowcy z ośrodków akademickich w Krakowie, Toruniu, Warszawie i Łodzi.

LUBLIN

✡ W salach BWA czynna jest wystawa grafiki Pabla Picassa, zorganizowana staraniem Muzeum Narodowego w Warszawie, Centralnego Biura Wystaw Artystycznych i lubelskiego BWA.

✡ Redakcja „Sztandaru Ludu" w Lublinie i „Radianskiej Wołyni" w Łucku dla uczczenia setnej rocznicy urodzin W. I. Lenina ogłosiły konkurs pt. „Lenin w moim życiu". Dla zwycięzców konkursu przewidziano atrakcyjne nagrody, m. in. dwudniową wycieczkę po Wołyniu.

✡ W Klubie MPiK czynna jest wystawa fotografii „Grupy trzech": Zdzisława Dadosa, Lucjana Demidowskiego i Włodzimierza Wróblewskiego. Członkowie „Grupy", powstałej przed rokiem przy Miejskim Domu Kultury w Lublinie, brali udział w pięciu wystawach międzynarodowych (Legnica, Edynburg, Bordeaux, Rużemberok, Belgrad) oraz w dziesięciu wystawach ogólnopolskich.

RZESZÓW

✡ Jerzy Pleśniarowicz, poeta i tłumacz, w roku bieżącym obchodzi 30-lecie pracy przekładowej. Jest tłumaczem przede wszystkim literatury radzieckiej. Wiele sztuk teatralnych w jego przekładzie wystawiono na scenach polskich. Podczas spotkania autorskiego w rzeszowskim klubie „Turkus" J. Pleśniarowicz zapoznał słuchaczy ze swoimi nie publikowanymi jeszcze przekładami.

✡ Teatr Poezji „Meluzyna" Zakładowego Domu Kultury WSK wystąpił w siedzibie CRZZ na uroczystości zorganizowanej z okazji Międzynarodowego Dnia Kobiet z „Rzeszowską szopką satyryczną". Po spektaklu przewodniczący CRZZ, Ignacy Loga-Sowiński, złożył gratulacje członkom zespołu.

✡ W Domu Sztuki w Rzeszowie czynna jest wystawa rzeźby i malarstwa pięciu plastyków krakowskich. Autorzy wystawianych prac — Genowefa Nowak (rzeźba), Danuta Dudek-Bleszyńska, Bolesław Szpechta, Eugeniusz Tukan-Wolski i Stanisław Urban (malarstwo) pochodzą z Rzeszowszczyzny.

✡ Ognisko Muzyczne w Łańcucie zostało przekształcone w Państwową Szkołę Muzyczną I stopnia. Obecnie w szkole w 7 oddziałach (3 dziecięce i 4 młodzieżowe) uczy się 110 uczniów a w filii szkoły w Markowej 112 uczniów.

✡ Środowiska twórcze Rzeszowa podejmują czyny społeczne dla uczczenia jubileuszu Polski Ludowej. „Zainaugurował" je Jerzy Sienkiewicz, który wykona freski na ścianach oddziału dziecięcego Szpitala Wojewódzkiego w Rzeszowie.

Młodzieżowa orkiestra dęta przy Zasadniczej Szkole Zawodowej Lubelskiego Zjednoczenia Cementowego w Chełmie.

Najlepszą formą terminowego otrzymywania „Kameny" jest prenumerata

ZAPROSZENIE DO MIASTA

Bogdan Madej

JEDŹCIE koniecznie do Rudnika nad Sanem! To małe miasteczko zasługuje, aby się po nim pokręcić. Można pojechać teraz, choć lepiej z końcem wiosny. Ulice wtedy będą suche, piaski nad Sanem rozgrzane, w podmiejskich krzakach zagrają wieczorem słowiki, okolicznym lasem przebiegną chwiejnie sarny, a piękne dziewczęta będą marzyć, jak wszędzie, o dobrych mężach.

Na to, że w prasłowiańskich czasach istniała tu osada, wskazują dobywane z ziemi przedmioty. Woda i las — nic dziwnego, że w czasach, kiedy wprost do rzeki i puszczy sięgano po żywność, ludzie tu właśnie osiedli. San jednak, rzeka kapryśna, odrzucił ich wylewami na piaszczyste wzgórza i tam zostali do dzisiaj. W rzece łowili ryby, po lasach tropili zwierzynę, wykarczowali nieco drzew pod zbożowe poletka, lepili garnki, a później w tym samym lesie, ogarniającym ich życie z trzech stron, przypiekali w piecach rudę i wytapiali żelazo.

W roku 1656, w czasie wojny ze Szwedami, plebański parobek Michałko doniósł stojącemu opodal z wojskiem Szandarowskiemu o pobycie na plebanii samego Karola Gustawa. Szandarowski wpadł na plebanię w czasie obiadu, zmusił króla do sromotnej ucieczki, zdobył sztandar, szarfę królewską i skonfiskował stołową zastawę. (Michałko, skromne rudnickie pacholę, trafił tym sposobem na karty historii, stąd do sienkiewiczowskiego „Potopu", aby po trzech wiekach wkroczyć we współczesne miasto jako patron najelegantszej kawiarni). Wielu pojmanych Szwedów osiedliło się w Rudniku, pożeniło z rudniczankami i wrosło w miasto przybrawszy za nazwisko imię swojej narodowości.

Po rozbiorach z Rudnika, miasta wówczas nadgranicznego, które przypadło Austriakom, co śmielsi przekradają się aż do Lombardii, gdzie legiony formuje Dąbrowski. Ktoś tam przyłącza się do wojsk księcia Poniatowskiego. Wieść o rabacji Jakuba Szeli dociera do miasta i budzi tak żywy oddźwięk, iż strwożonemu zaborcy jedynym wyjściem wydaje się masowa chłosta, którą aplikuje miastu w roku 1846.

W roku 1878 baron Hempesch, Austriak, zakłada w mieście pierwszy warsztat koszykarski, a czterech najzdolniejszych ludzi wysyła po dwóch latach do Kunstegeverbe Schule w Wiedniu, aby się uczyli wyplatać z wikliny kosze i meble. Temu dobremu gospodarzowi, a jednocześnie hulace i przystojnemu kobieciarzowi, który z kolei każdą kiecką przehandlowałby za dobrego konia, nie przyszło do głowy, że zainicjowane przez niego koszykarstwo, zmonopolizowane później przez firmę Krause, wrośnie w Rudnik tak mocno.

Gdy wybuchła pierwsza wojna światowa, front przewala się przez Rudnik dwukrotnie, we wrześniu 1914 i wiosną roku następnego. Dwie trzecie miasta leży w gruzach, pali się doszczętnie zabytkowy kościółek z modrzewia, a ludność błąka się po okolicznych lasach — trapi ją głód i epidemia.

Każde miasto ma jednak w sobie coś z feniksa — tylko narody bogate wyrzekają się swoich ruin. Rudnik po pierwszej wojnie dźwiga się jeszcze raz. Odbudowuje się, powstają prywatne firmy koszykarskie, a działający do dziś Jan Syrowatka, dyrektor miejscowego „ogólniaka" i przyjaciel Józefa Czechowicza z lat studenckich, zakłada wespół z innymi pierwszą robotniczą spółdzielnię koszykarską.

Potem rok 1939. W willi doktora Hernicha Niemcy zamurowują okna, ustawiają w jednym karabin maszynowy obrócony lufą na niespokojny las, w łazience instalują żelazną pryczę i maczanym w wodzie bykowcem wypisują na plecach aresztowanych nowy nadludzki ład. Z owego ładu został wiszący do dziś w willi bykowiec oraz pogrzebane na terenie posesji zwłoki młodego gatrowego z Łętowni, nie licząc siedmiu zabitych, nikomu tutaj nie znanych. 26 lipca 1944 roku Rudnik znów jest wolny.

Nudy na pudy, brak perspektyw, bałagan i brud, inercja miejscowych władz — wynik niegdysiejszego centralizmu, oto Rudnik jeszcze sprzed siedmiu czy ośmiu lat. Bierność była przerażająca, a narastała wiekami, w przedziwnych perypetiach peryferyjnego miasteczka.

Na ulicach plakaty:
Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Rudniku. UWAGA! Mieszkańcy miasta Rudnika n/Sanem. Rudnik n. S po raz drugi bierze udział w Wielkim Krajowym Konkursie Miast pt. MISTRZ GOSPODARNOŚCI. W roku 1968 miasto otrzymało 150 tys. złotych za wzorową, dobrą gospodarkę...

Dziw? Dziw! Tylko że to naprawdę żadna mistyfikacja. Idzie o ten sam Rudnik, któremu aż się prosiło przybić na budynku stacji kolejowej tablicę: CHANDRA UNYŃSKA, ale o Rudnik roku 1969.

Przewodniczącym Prezydium Miejskiej Rady Narodowej został wybrany w roku 1965 były nauczyciel i były wojskowy, Stanisław Czech. Młody, energiczny i stąd, że nietutejszy, widzący ostrzej miejscowe problemy i możliwości. Ostrzejsza była jego reakcja na miejscowy klimat bierności, nudy, bezsensu i stagnacji. Początki, jak sam powiada, nie były łatwe, ale też nie szło od razu o wielkie rzeczy. O porządek przy domach i na ulicach, o estetyczny wygląd miasta, o pierwszą jaskółkę społecznej inicjatywy i, choć nie brzmi to ładnie, o lokalny patriotyzm. Szło o to, aby się dogadać z miejscowymi spółdzielniami i zakładami pracy, aby ktoś spoza kręgu oficjalnych, bo z wyboru, gospodarzy miasta poczuł się współwładcą, a więc i współodpowiedzialnym za istniejący stan rzeczy.

Dziś trudno jest prześledzić oporne, niemal w autentycznych porodowych bólach, rodzenie się miejscowych inicjatyw. Burzliwe posiedzenia Miejskiej Rady Narodowej, na których Stanisław Czech prezentował cały arsenał argumentów przeciwko status quo, należą do przeszłości. Uzmysławia to dobitnie cytowany plakat.

Zaczęło się istotnie od rzeczy małych. Od porządkowania miasta, od zamiatania ulic i obejść, sadzenia krzewów, kwiatów i drzew oraz pielęgnowania zieleni. Rudnik, zwąchawszy po pierwszych oporach o co idzie, złapał drugi oddech. Zaczęło się asfaltowanie ulic, remont płotów, tynkowanie i malowanie budynków. W mieście, niczym para w kotle parowym, zaczęła szumieć drzemiąca dotąd społeczna gospodarność. Nietrudno już było dogadać się z miejscowymi potentatami. „Jedność" zafundowała miastu ogródek jordanowski, „Mostostal" rozpoczął montaż konstrukcji hali sportowej i wykonał ją w roku 1968 — w czynie społecznym! — za 420 tys. zł. Całość, sięgająca 700 tysięcy, zostanie ukończona w tym roku. (W roku 1968 wykonano czyny społeczne o wartości ponad dwa miliony zł, na ten rok planuje się niemal trzy). Prezydium Miejskiej Rady projektuje na lata 1970—71 zainstalowanie w całym mieście gazu ziemnego, a potem przeprowadzenie kanalizacji. Liceum Ogólnokształcące ma złe warunki lokalowe, więc na rok 1971 planuje się budowę nowego gmachu. W budowie — hala sportowa, są plany stadionu sportowego i siedziby klubu.

Jeżeli idzie o zatrudnienie odczuwa się brak męskich rąk do pracy. Tymczasem rozbudowa filii „Mostostalu", która pochłonie ponad 50 milionów zł, da trzysta dodatkowych stanowisk. „Jarot" ma produkować płyty pilśniowe, rozbudowuje się sieć handlu. Ludzie znajdą zajęcie na miejscu, za parę lat odpadnie konieczność zarobkowania w Stalowej Woli, w Nisku czy w Sarzynie.

Są jeszcze braki. Nie ma mieszkań z budownictwa MRN, ale oznacza to pakt ze spółdzielnią mieszkaniową działającą w powiatowym Nisku. Brak jest świetlicy z prawdziwego zdarzenia. Za ciasny jest istniejący ośrodek zdrowia. Ponieważ o inwestycji z budżetu centralnego nie ma na razie mowy, a miasto stało się niecierpliwe, władze miejskie dogadały się z zakładami pracy i chcą realizować wspólnie międzyzakładowy ośrodek zdrowia, gdzie dach nad głową znalazłyby apteka, rentgen i parę gabinetów specjalistycznych.

90 proc. wyrobów koszykarskich wędruje do siedemnastu państw zachodnich i to też jest problem. Zachodni rynek jest szczególnie kapryśny, jego chłonność zależy nie tylko od uległości producenta wobec nakazów mody i od równowagi między podażą a popytem, ale także, a może przede wszystkim, od politycznych konfiguracji. Może się zdarzyć, iż rudnickie wikliniarnie stracą rynek, co jest prawdopodobne tym bardziej, że od pewnego czasu z polskimi wyrobami ostro konkurują produkty Jugosławii i Włoch. Władze miejskie myślą zawczasu o ewentualnym, niemal natychmiastowym w razie potrzeby, przestawieniu miejscowych zakładów na produkcję mniej zależną od tego rodzaju rynkowych wahań. Koszykarstwo rudnickie — trzeba o tym pamiętać — to praca dla 3 000 chałupników i produkcja rzędu 150 milionów złotych.

Rudnik to w dalszym ciągu 900 gospodarstw uprawiających mizerne grunty IV i V klasy, zaledwie 30 proc. to żyźniejsze mady nadrzeczne. Sytuację ma poprawić radykalne odejście od stereotypowego zasiewu. Wyjściem byłaby uprawa roślin przemysłowych, głównie tytoniu, za który w ubiegłym roku miejscowi rolnicy wytargowali 1 200 tys. złotych.

Wokół miasta — piaski, las i rzeka. W okresie wakacyjnym miejscowe szkoły otwierają się dla kolonii letnich. Miasto aż się prosi o stworzenie ośrodka wypoczynkowego. San stwarza idealne warunki dla przystani i ośrodka sportów wodnych. Tymczasem właśnie o las — mocno już i nierozważnie przetrzebiony w najbliższej miastu okolicy — rozgorzała walka między władzami miejskimi i Dyrekcją Lasów Państwowych z Przemyśla, która postanowiła wyciąć stare drzewa i posadzić

Dokończenie na str. 11

Matenadaran — skarbiec kultury i nauki

Dokończenie ze str. 1

ponatów znajduje się również dokument, wystawiony dla Ormian polskich. Zresztą nie jest to jedyny w armeńskich archiwach zabytek, związany z historią Polski.

Chronologicznie zasoby obejmują okres od V do XVIII wieku. Większość ksiąg napisana jest grabarem — staroarmeńskim językiem literackim. Najstarsze pomniki armeńskiego pisma i żywotopisarstwa zachowały się we fragmentach z V—VI wieku, miniatury z VI—VII. Łazarewski ewangeliarz został napisany w roku 887 i należy do najstarszych zabytków.

Historia powstania rękopisu armeńskiego jest bardzo dawna. W końcu IV wieku Mesrop Masztoc ułożył alfabet armeński, składający się z trzydziestu dziewięciu liter. Przetrwał on do dziś bez zmian. Wprawdzie przed jego ułożeniem piśmiennictwo istniało, ale od tego czasu powstaje i rozwija się szkoła pisarska w języku ojczystym. W licznych klasztorach zakłada się skryptorie, gdzie następcy Masztoca przepisywali cierpliwie setki dzieł rękopiśmiennych. Tak powstawały księgi kościelne i naukowe. Przepisywali je pisarze, którzy byli jednocześnie biegłymi mistrzami miniatury, dlatego stały się one dziełami sztuki. Jest rzeczą ciekawą, że pisarstwem w Armenii zajmowali się nie tylko mężczyźni, ale również i kobiety. Znane są imiona pisarek miniaturzystek, jak Elżbiety, Alicji z wieku XIII, a z XIV—XV w. Mariam, Zarmani, Tamar.

Miniatura z rękopisu z 1205 r.: „Szeranik zawsze przynosi rybę".
Fot. A. Polakowski

Miniatura zajmuje szczególne miejsce w kulturze artystycznej armeńskiego średniowiecza. Łączy się to z wysoko postawioną umiejętnością wydawania książki. Niektóre rękopisy były zdobione przez ludzi, którzy nie przechodzili jakiegoś specjalizowania się w miniaturze i nie posiadali środków na bogate wykonywanie swych ksiąg. Miniatury te nie odznaczają się bogatą gamą kolorów i wirtuozostwem ornamentyki. Ale znalazło tam miejsce bardzo realistyczne przedstawienie różnych scen z życia. Duże znaczenie dla badaczy mają podobizny zamieszczonych tam przedmiotów, narzędzi pracy, odzieży, naczyń, uzbrojenia, instrumentów muzycznych itp.

Z wielu szkół pisarskich w Armenii wysoko cenione były założone w starożytnej stolicy Ani, w Achpacie, Wan, Erzerum, szkoła Tatiewska, Tarońska i inne. W tych skryptoriach tworzyli tacy wybitni mistrzowie jak Stefanos, którego dziełem jest Muszski homiliarz z lat 1201—1204.

Poczynając od wieku XII tematykę kościelną przenikają motywy świeckie. W Achpackim ewangeliarzu, którego miniatury zostały wykonane w 1121 r. w klasztorze Oromos niedaleko od miasta Ani przez miniaturzystę Markarę, w scenie, przedstawiającej wjazd Chrystusa do Jerozolimy, znajdują się ciekawe szczegóły. Artysta umieścił w miniaturze wielopiętrowy dom czerwony, wzięty ze współczesnego mu miasta Ani. Bogaty właściciel domstwa wyszedł na spotkanie gościowi i kazał swemu słudze rozesłać szaty pod nogami osła, na którym wjeżdża Chrystus. Na balkonie domu chłopcy i dziewczęta prowadzą rozmowy. Widać też innych mieszkańców, którzy wyszli z różnymi instrumentami, inni ścinają gałązki oliwne. Druga miniatura tego samego ewangeliarza przedstawia człowieka pod drzewem grającego na flecie. Na drzewie siedzi czarny drozd i towarzyszy fletowi swoim śpiewem. Jeszcze jedna miniatura przedstawia przyjaciela artysty Szeranika wracającego z ogromną rybą. Obok napis: „Szeranik zawsze przynosi ze sobą rybę".

W historii armeńskiej miniatury oddzielne miejsce zajmują ośrodki istniejące w armeńskiej Cylicji. W ciągu dwu wieków miniatura cylicyjska osiąga tak wysoki poziom artystyczny, że sława jej wyszła daleko poza granice państwa. Najsłynniejszym z tej szkoły stał się miniaturzysta XIII wieku Toros Roslin, nazywany w dzisiejszej nauce zwiastunem renesansu, wirtuozem ornamentu. Toros Roslin był wielką indywidualnością twórczą. Zachowało się siedem rękopisów z jego miniaturami. Pięć jest przechowywanych w klasztorze św. Akopa w Jerozolimie, jeden w Baltimore, jeden w Konstantynopolu. Najstarszy z podpisanych pochodzi z roku 1268. Roslin na wolnych polach kart zamieszczał scenki z życia. Nieraz wielkość twarzy ludzkiej nie przekracza 2—3 milimetrów, ale twarz ta wyraża różne uczucia. Ten subtelny nowator był wysoko oceniany i przez współczesnych. Nowatorstwo Roslina wyrażało się nie tylko w przedstawieniu człowieka w ruchu czy też w postawie stojącej, ale również w pokazywaniu jego przeżyć psychicznych. Ponadto wprowadził sceny z walk zwierząt, oddzielne figury, szczególnie ptaków, z których wiele w ogóle po raz pierwszy zjawia się na kartach rękopisów, np. dzięcioł, wilga, kondor.

Miniatury Roslina często nie zgadzają się z kościelnym charakterem rękopisu. W jego twórczości widać wyraźne tendencje do wprowadzenia tematyki świeckiej, chęć tworzenia obrazów z życia codziennego. Miniatury Roslina zachowały budzącą podziw czystość rysunku i żywość barw.

Innym sławnym miniaturzystą szkoły cylicyjskiej był Sargis Picak z XIV wieku. Zostawił on swój autoportret na jednym z rękopisów.

Obok tych najsławniejszych, są inni, często anonimowi, ale ich spuścizna zainteresowała wielu badaczy. Niezupełnie znani są twórcy takiego zabytku jak ewangeliarz eczmiadzyński, wykonany w 989 r. w klasztorze Norawank w pobliżu Tatiewa. Liczne miniatury zamieszczone w tym rękopisie odznaczają się wysokim poziomem artystycznym. Na końcu księgi wszyte są dwie karty z VI—VII wieku, również ozdobione miniaturami. Oprawa jest wykonana z kości słoniowej bogato rzeźbionej. Być może, posłużono się tu oprawą ze starszego rękopisu.

Miniatura armeńska odznacza się nadzwyczajną żywością barw: czerwień, purpura, złoto, błękit, zieleń, różne odcienie żółtego. Wszystkie te barwy misternie wplecione w piękny rysunek. Elementy dekoracyjne najczęściej dotyczą świata roślin lub zwierząt. Ulubione ptaki to pawie, orły, różne ptaki śpiewające, które często przybierają fantastyczne kształty.

Wysoka wartość artystyczna miniatury armeńskiej oraz znaczenie ksiąg rękopiśmiennych jako bogactwa kultury narodowej były doceniane już w średniowiecznej Armenii. Przyczyniły się do tego w znacznej mierze warunki polityczne, w których uchronienie od zagłady skarbów kultury narodowej wymagało często wielu wysiłków. Znane są liczne przykłady ratowania ksiąg z narażeniem życia. Znajdujemy także w niektórych manuskryptach apele ówczesnych kopistów i pisarzy do czytelników o szanowanie ksiąg. Np. zaleca się zabezpieczenie ich przed pleśnią, przechowywanie z dala od ognia, gryzoni, przestrzega się przed zanieczyszczeniem ksiąg oliwą, dotykaniem ich brudnymi rękami. Ponadto radzi się po przeczytaniu owijać je czystą tkaniną i przechowywać w suchym miejscu.

Ceny ksiąg były znaczne. Za pewien ewangeliarz niejaka Margarita zapłaciła dwa byki, jedną krowę i dwa konie. Inny Armeńczyk za pieniądze uzyskane za sprzedany rękopis wykupił z niewoli brata, żonę i córkę. Jeśli wziąć pod uwagę, że na niektóre dzieła zużywano po 700 skór cielęcych, ceny nie wydadzą się tak wysokie.

Zasób rękopiśmienny Matenadaranu nie jest jednolity. Podzielono go też na kilka działów. Licznie reprezentowana jest historiografia, geografia, filozofia, prawo, medycyna, matematyka, kosmografia, chemia, alchemia, literatura. O poziomie uczonych średniowiecznej Armenii świadczą wypowiedzi geografów i kosmografów. Kosmograf Ananiasz Szirakaci żyjący w VII wieku wyraża najzupełniej rewelacyjne na owe czasy poglądy o krążeniu Ziemi dokoła Słońca, ruchu planet, wyjaśnia istotę drogi mlecznej i światła Księżyca. Równie interesujące są dzieła medyczne z klinicznymi opisami chorób, rysunkami przedstawiającymi operacje chirurgiczne z zaszywaniem ran, opisami anatomii człowieka, chorób zakaźnych itd.

Czarująca jest poezja armeńska pisana w XIII wieku. Lirycznym smutkiem są przeniknięte wiersze, w których poeci wyrażają tęsknotę wygnańców za utraconą ojczyzną. Symbolem ojczyzny jest żuraw, który ma przynieść wieści z kraju. Znaczenie żurawia jako ptaka — symbolu utrzymało się do dziś w tradycji nie tylko poezji, ale i pieśni.

Tak więc rękopisy Matenadaranu kryją niezmierne bogactwo kultury armeńskiej, a zetknięcie z nimi nawet pobieżne i krótkie wywiera niezwykle silne wrażenie jakiejś harmonii historii i współczesności

Mirosława Zakrzewska-Dubasowa

Owannes Tumanian (1869–1923)

Ormiański smutek

Ormiański smutek to bezbrzeżne morze,
Głębina na głębinie,
Po tym ogromnym i czarnym przestworze
Dusza ma tęskna płynie.

Czasami miota się wzwyż rozwścieczona,
Szuka, gdzie brzeg jest senny.
Czasami w dół opuszcza się zniżona,
Gdzie spokój jest bezdenny.

Ale dna nie tknie przenigdy w tym morzu,
Do brzegu nie zawinie,
W ormiańskim smutku na czarnym przestworzu
znękana zawsze płynie.

Spolszczył Stefan Orczyk

Kamena str. 3

Bułat Okudżawa

A jednak żal

Co było nie wróci. Przeszłością się martwić nie trzeba,
Wszak każda epoka przynosi tysiące swych spraw;
A jednak wciąż żal. Że Puszkina — Aleksandra Siergieicza
nie można już spotkać, pogadać, posiedzieć, ot tak...

Nikt z nas już nie musi truchcikiem się spieszyć w szeroki świat.
Samochód nas wozi, rakiety unoszą hen, w dal.
A jednak wciąż żal, że po prostu zwyczajnej dorożki brak,
choć jednej dorożki... I więcej nie będzie, a żal.

Fot. Andrzej Polakowski

W prezencie nam zwycięstw nikt nie dał, trud nieraz wykrzywiał twarz.

Przystanie nadziei, miłości i światła już znasz.
A jednak wciąż żal, że zwycięstwa i sukces i pomnik sam
Niekiedy przerasta piedestał, a szkoda i żal.

Co było nie wróci... Podchodzę do samych Arbatu bram
i oczom nie wierzę... — Dorożka! Dorożkarz! i bat!!
Aleksander Siergieicz spacerkiem przechadza się tu i tam,
Ach, jutro na pewno nowego coś pozna ten świat!

Wańka Marozow

To sprawa prosta, nie zawiła,
nie winien Wańka nic a nic.
To ona tak go omamiła,
a Wańka nie zawinił nic.

Marozow Wańka ciągle chadzał
do Cyrku, aż na Stary Plac.
Świat cały dla cyrkówki zdradzał,
zakochał się — choć siądź i płacz.

Ta linoskoczka jak widziadło
machała białą rączką w dół.
Namiętność Wańkę cap za gardło!
Jak stał, tak skłonił jej się w pół.

Setkami rzucał w drogich knajpach,
by słyszeć linoskoczki śmiech.
Nie wiedział o tym, że od dawna
Marusia kocha do łez.

Meduzy różne i ostrygi
fundował w desperacji złej;
Nie szczędził rubli ni fatygi
by tylko się spodobać jej.

Przewidzieć nie mógł, że oszuka
— Wszak wielka miłość to nie nóż!
Ach Wania, Wania... czego szukasz?
Ty sam po linie idziesz już.

Ochraniajcie nas poetów

Ochraniajcie nas poetów. Wszędzie. Gdzie się da;
Żyją sto lat, lub pół wieku, rok, półtora dnia,
trzy minuty, dwie minuty, lub w ogóle nie...
Tak, by wszyscy za jednego — tak nas trzeba strzec.

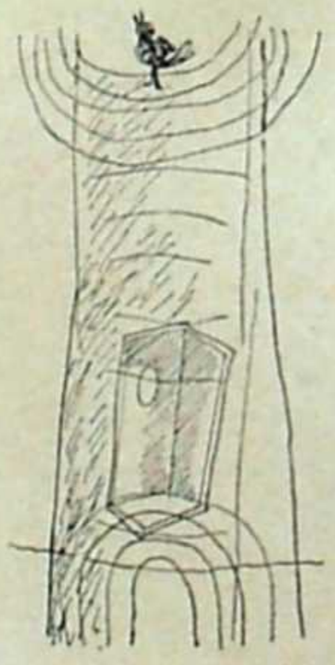

Rys. Edward Inglot

Trzeba przyjąć nas z grzechami, z radością i bez;
Gdzieś tam młody i przepiękny chadza nasz Dantess,
klątwę przeżył i przekleństwo, lecz pamięta śmierć:
Przeznaczenie wciąż mu każe kulę w lufie mieć.

Gdzieś tam płacze nasz Martynow. Dziś mu ręka drży,
raz już zabił, więcej nie chce pojedynków, krwi...
Niełaskawy los ołowiem wciska się do luf
i dwudziesty wiek jak przeszły tanich szuka słów.

Ochraniajcie nas, poetów! Niech pochopny sąd,
ani ślepa przyjaciół nie wyciąga rąk.
Ochraniajcie nas tak długo jak się tylko da
— tylko nie tak ochraniajcie by się zwalić w piach

i nie tak nas pilnie strzeżcie jak psiarczyk złe psy
i nie tak jak car onegdaj strzegł psiarczyków tych...
Będą wiersze, będą pieśni, będą! I nie raz.
Tylko wy nas ochraniajcie... oszczędzajcie nas.

Przełożył Jerzy Księski

Kamena str. 4

Z literatury faktu

Podróże bliskie

TEORETYCY reportażu przyznają zgodnie, że jednym z jego nurtów rozwojowych były sprawozdania podróżnicze. Tradycja to nader stara, sięgająca czasów antycznych. Dla przykładu można powołać Skylaksa z Karyandy, historyka greckiego z V wieku p.n.e., który na zlecenie Dariusza miał opłynąć Arabię i opisać ją wraz z Indiami. Z czasów nam bliższych pochodzą relacje Ibn Battuty, podróżnika arabskiego z XIV wieku, który wykonując najrozmaitsze zawody i najprzeróżniejsze funkcje, ogółem przewędrował 120 tysięcy kilometrów, zwiedzając m. in. Egipt, Palestynę, Syrię, Irak, Iran, Krym, część Powołża, Azję Środkową, Indie, Chiny, Sudan Zachodni.

Słowiańskie tradycje podróżnicze reprezentuje przede wszystkim Anastazy Nikitin, kupiec z Tweru, jednego z głównych ośrodków handlu i rzemiosła na Rusi. Wydawcą „Wędrówki za trzy morza" Nikitina był Mikołaj Karamzin, który w swej „Historii państwa rosyjskiego" pisał z dumą w 1818 roku: *Nie wiedzieli dotąd geografowie, że zaszczyt posiadania jednego z najstarszych w Europie opisów podróży do Indii przypada w udziale Rosji Iwanowego wieku.*

Z polskich podróżników dużą poczytnością cieszył się pamiętnik Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła zwanego Sierotką: „Peregrynacja albo pielgrzymowanie do Ziemi Świętej", czytany m. in. jako ulubiona lektura przez prezydenta J. Kennedy'ego. Z innych naszych podróżników, prekursorów reportażu, który jako gatunek już ukształtowany ma historię ledwie stuletnią, wymienić należy Jana hrabiego Potockiego, autora „Podróży do Turek i Egiptu" i Seweryna Goszczyńskiego („Dziennik podróży do Tatrów"). Do tego nurtu przynależą opisy bliższych i dalszych peregrynacji podejmowanych przez Staszica, Kraszewskiego czy Prusa.

Nieco przydługi ten wstęp typu informacyjno-encyklopedycznego godzi się uzupełnić jeszcze jednym nazwiskiem: księżnej Izabeli Czartoryskiej.

Dyliżansem przez Śląsk

PANI na Puławach była ze wszech miar niezwykłą postacią. Jej długie życie (1746—1835) przypadło na epokę wyjątkowo dramatyczną w dziejach Polski. Na wypadki polityczne księżna reagowała żywo, swoje życie jak by dopasowując do coraz bardziej pogarszającej się sytuacji narodowej. Świat poznawała jako zalotna, rozbawiona i lekkomyślna dama rokoka. Wydarzenia, rozgrywające się na arenie międzynarodowej i krajowej, wyraźnie ją przeobraziły: ze światowej kokotki w patriotkę, której — jak o sobie sama pisała w jednym z listów — *nie opuszcza (...) gorączka Narodowości.* Patriotyczny impuls sprawiał, że wciąż podejmowała czynności służące krajowi. Założyła w Puławach pierwsze muzeum pamiątek w Świątyni Sybilli i Domku Gotyckim, pozostawała w żywym kontakcie ze światem literackim i artystycznym, czyniąc z Puław „Polskie Ateny". Brała udział w przedstawieniach teatralnych grywając w sztukach patriotycznych. Zajmowała się filantropią i urządzaniem ogrodów. Krzewiła oświatę zakładając szkółki wiejskie, dla których pisała podręczniki.

Dystans czasu, jaki nas dzieli od epoki, w jakiej żyła, pogłębia zainteresowanie postacią księżnej. Jednym z przejawów jest choćby fakt opublikowania obecnie jej dziennika podróży do Cieplic w roku 1816. „Dyliżansem przez Śląsk"[1] Izabeli Czartoryskiej można uznać za debiut autorski w dziedzinie... reportażu. Naturalnie, księżna tak swych uwag podróżnych nie mogła traktować, gdyż sam termin „reportaż" jako oznaczenie gatunku, pojawiło się później. Otrzymaliśmy jednak interesujące sprawozdanie z podróży, wcale nie gorsze od tych, jakie dzisiaj piszą profesjonaliści, którzy z podróżowania uczynili zawód.

Jak na księżnę wypadało, do wód nie jechała sama. Obok wychowanicy, rezydentów dworu puławskiego, kobiet służebnych, lekarza i kucharczyka wiozła ze sobą szarą papugę zwaną Bazią i psa imieniem Szczur. W Cieplicach zamierzała leczyć schorzałą nogę, gdyż dolegał jej reumatyzm. Podróżując sporządzała notatki w języku francuskim, które teraz otrzymaliśmy w ładnie brzmiącym przekładzie Jadwigi Bujańskiej.

Szlak podróży księżnej po Śląsku to w dużej mierze odnajdywanie śladów polskości. Oglądając we Wrocławiu katedrę pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela notuje z troską: *Był czas, kiedy to wszystko należało do Polski; długo tu rządzili Piastowie.* Choć ostatnim z rodu Piastów był Jerzy Wilhelm, książę legnicko-brzeski, zmarły w 1675 roku, nie oznaczało to, że polskość na tych terenach zanikła. W czasie zwiedzania kościoła pod podwójnym wezwaniem św. Krzyża i św. Bartłomieja, fundowanego w Oleśnicy przez Henryka IV, księcia wrocławskiego, Czartoryską uderzył *głośny śpiew ludu,* którym bardzo się wzruszyła *słysząc te same, co i u nas strofy śpiewane po polsku.* Śląska Oleśnica wydała się jej Puławami!

Można by sądzić, iż księżna, wychowana na literaturze sentymentalnej, będzie jedynie wzdychać czule. Tymczasem stać ją na bardzo trzeźwe oceny i uwagi, często zabarwione ironią. Odwiedzając dom Jana Bogumiła Korna, księgarza i wydawcy wrocławskiego, który drukował wiele dzieł polskich, nabywanych także przez dwór puławski, tak oto charakteryzuje gospodarza: *Jego żona przyjęła nas z naturalną swobodą i uprzejmością. Gdy prowadziła nas do salonu, słowo „superbe" nie schodziło z ust jej męża. Dom, pokój, mieszkanie, obiad, owoce, żonę, syna, krowy, masło — słowem wszystko określał mianem: „superbe".*

Częste i barwne są spotkania z mieszkańcami Śląska. Dostarczają okazji ku temu i noclegi w zajazdach, i wycieczki podejmowane w różne górskie ustronia, i odwiedziny warsztatów tkackich, i zjazdy do kopalni węgla w Walbrzychu, administrowanej przez pana Mielińskiego, co też uznać należy za jeden z dowodów polskości tych ziem.

Mimo siedemdziesiątki — pozazdrościć tylko księżnej sprawności — liczne wypady w Karkonosze, połączone nawet ze wspinaczką. Nie zawsze odbywa je jednak o własnych nogach, gdyż np. do Śnieżnych Kotłów dociera w lektyce niesionej przez Górali. Pani na Puławach spotyka się na szlakach z innymi turystami, pije mleko, nie gardzi rumem, winem, kozim serem z chlebem. W turystycznym ferworze nawet nielegalnie przekracza granicę.

Księżna opisuje wiele zabytków Śląska, ze znajomością czyni uwagi o sztuce. Sporo miejsca zajmują żywo nakreślone sylwetki właścicieli dóbr. Jak na turystkę przystało, rozprawia często o pogodzie, przy czym za barometr służy jej... góra Śnieżka. Rzecz jasna — bawi u wód w Cieplicach. Jest atrakcją towarzystwa, umie i lubi imponować. Z tekstu wyczuwa się, że odpowiada jej rola, kiedy króluje stanowiąc centrum zainteresowania. Ponieważ jest to rozpoczynająca się epoka walca, często księżna wspomina, kto go tańczył. Ona sama zdobyła się na coś nader oryginalnego: *Zaproponowałam damom, aby zatańczyły w wodzie walca; ofiarowałam się śpiewać i udawać orkiestrę. Przyklaśnięto temu i projekt mój przyjęto z radością, lecz, co zabawne, panny nie miały odwagi próbować. Jedynie wdowy, które prawdopodobnie nie uczęszczają już na bal, przyklasnęły temu z całych sił. Zaśpiewałam i bal się rozpoczął. Chociaż takt nie zawsze był zachowany, wszystkie damy bawiły się i śmiały.*

Tego roku, w lutym, zwiedzałem Karkonosze. Choć o połowę młodszy od księżnej, w tym samym okresie czasu, co ona, zobaczyłem, najskromniej licząc, chyba ze dwa razy mniej. Dziennik Izabeli Czartoryskiej „Dyliżansem przez Śląsk" uzupełnił mi nie najlepszej próby wiedzę przewodników. Staranne wydanie książeczki, opatrzonej w liczne stare ryciny, w fotografie i współczesne rysunki, a także w bogate treściowo przypisy, stało się możliwe m. in. dzięki pomocy mgr Zygmunta Nowakowskiego, kierownika biblioteki IUNG. Korzystano też ze zdjęć drugiego puławianina — Mikołaja Spoza. Tłumaczce, a także zasłużonemu wydawnictwu nie brakło więc inwencji w rzetelnym i atrakcyjnym opracowaniu książki, dzięki czemu nabrała walorów rarytasu edytorskiego.

Wielki zwiad

KTÓREMU z autorów książek reportażowych przyznać można miejsce obok księżnej Izabeli? Sądzę — po ostatnich publikacjach — iż jak najbardziej należy się ono Ryszardowi Kapuścińskiemu za tom „Kirgiz schodzi z konia"[2].

O Związku Radzieckim pisano wiele. W wielu publikacjach raziła jednak cukierkowatość opisów, jednostronność, traktowanie zagadnień z typowym hurra optymizmem. Jeśli ktoś chciał sięgać po autentyk — zdany był na... Egona Erwina Kischa i jego dwa świetne tomy „O carach, popach i bolszewikach" oraz „Azja odmieniona". Tak! Ale była to wiedza ze zwiadu jeszcze sprzed wojny. Linia przeobrażeń ukazana została w tych książkach w całym bogactwie wydarzeń i trudności nowego państwa wielonarodowych społeczeństw poszczególnych republik. Jeśli polski czytelnik odczuwał pewien niedosyt z lektury tych dwu pozycji, to z racji tego, że pisał je przecież czeski reporter. Brakło więc w nich odniesienia do spraw polskich. W reportażu zagranicznym liczy się to bardzo. Wtedy widzi się różnice lub też podobieństwa w porównaniu z własnym krajem. Nie chodzi koniecznie o bezpośrednie zestawienia. Wystarczą odczucia.

Wreszcie książki takiej się doczekaliśmy. Napisał ją Kapuściński po wydaniu „Buszu po polsku" i po „Czarnych gwiazdach". Pierwsza z tych pozycji przyniosła głośne reportaże o tematyce krajowej. Młodzi reporterzy zostali nimi wprost zafascynowani, pojawili się nawet mimowolni naśladowcy charakterystycznej tematyki i stylistyki. Komuś nawet jeden z reportaży dopomógł wyraźnie w napisaniu jednej z lepszych sztuk w powojennym dorobku polskiej dramaturgii.

Potem Kapuściński pożegnał tematykę krajową. Dał o sobie znać znakomitymi reportażami z Afryki. One właśnie złożyły się na tom „Czarne gwiazdy". Była to książka oddająca koloryt afrykański, mentalność ludności, charaktery i dążenia przywódców wyzwalających się państw.

Po sześciu latach od wydania „Buszu po polsku" wyszedł „Kirgiz schodzi z konia", niespełna 140-stronicowa książeczka. Stanowi ona plon podróży reportera po zakaukaskich i azjatyckich (z wyjątkiem Kazachstanu) republikach radzieckich.

Metoda pisarska tej książki sprawia wrażenie ascetycznej. Styl maksymalnie uproszczony. Zdania krótkie, spokojne, pozornie wskazujące na obojętny tok narracji.

Gruzja to mały kraj, ponad cztery razy mniejszy od Polski. Ale to właśnie porównanie nigdy nie przychodzi tam na myśl. Wrażenie kłóci się z faktami, ponieważ wszechobecność gór zmienia prawa optyki. Gruzja wydaje się ogromna, bezgraniczna jak ocean. Napisane to pięknie. I jakże treściwie. Ileż w tych paru początkowych zdaniach pierwszego reportażu w tomie zostało powiedziane!

Albo dalej: *Gruzja jest rówieśniczką Grecji i starszą siostrą Rzymu. Jest ona tak stara jak Biblia. Pieśni, które tu śpiewają, mają wiek Akropolu, może nawet wiek Babilonu.*

Wielką zaletą reportaży Kapuścińskiego jest znakomite uchwycenie specyfiki historycznej, narodowościowej, topograficznej każdej z opisywanych republik. Przed oczyma przesuwają nam się jak by odmienne kraje. Tylko jeden motyw jest wspólny: dokonujące się przeobrażenia. Mają one jednak bardzo różną postać. W Azerbejdżanie większość kierownictwa KC ma tytuły naukowe: prezydent jest docentem geologii, I sekretarz — docentem medycyny, jeden z wicepremierów — docentem rolnictwa, a drugi — doktorem medycyny. Zwiedzając jeden z kołchozów w Uzbekistanie, autor rozmawia z przewodniczącym Rady Starców. *Rada Starców powstała sześć lat temu. Dawniej starców zwalczano jako feudalny przeżytek, a teraz mówi się, że trzeba ich szanować, bo tak nakazuje tradycja. Teraz starcy (...) walczą, żeby: a) mężowie nie bili żon, b) żeby rodzice posyłali dziewczęta do szkoły, c) żeby rodzice nie wydawali dziewcząt za mąż wbrew ich woli, d) aby mułłowie nie handlowali talismanami, e) żeby młodzi nie brali ślubów kościelnych, f) żeby wyda-*

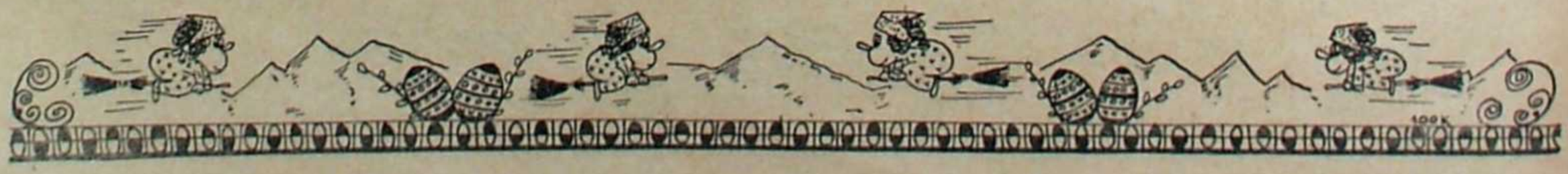

Romuald Karaś

i dalekie

te dziewczynę za mąż jej rodzice że domagali się kałymu". W Tadżykistanie — czytamy u Kapuścińskiego — szlak karawanowy jest teraz zalany asfaltem i jeżdżą po nim samochody. Te drogi wiodą przez góry Pamiru! W tytułowym reportażu dla całej książki „Kirgiz schodzi z konia" reporter w zakończeniu opowiada, jak buduje się elektrownię:

„Dwie skalne ściany wznoszą się pionowo na wysokości 500 metrów. Dołem płynie rzeka. Między tymi ścianami stanie zapora. Budowa wygląda tak, jak by w tym miejscu odbywało się masowe zdawanie egzaminu na odznakę alpinistyczną. W istocie robotnicy przechodzili tu najpierw alpinistyczne przeszkolenie. Wielu z nich pracuje przyczepionych hakami i linami do skalnej ściany. Zbudowano też drabiny, po których wchodzi się pionowo 120 pięter w górę. Robotnik odbywa tę trasę codziennie, na szczyt i z powrotem. Byłem ciekaw, jaki jest wysiłek — wszedłem raz i wróciłem na dół ledwie żywy. A wszyscy oprócz tej wspinaczki ludzie jeszcze pracują. Latem panują tu zaharyjskie upały, zimą — syberyjskie mrozy. Wichry są tak silne, że odrywają człowieka od skały. Ludzie, czytając za kilka lat wzmiankę o otwarciu elektrowni w dolinie rzeki Naryn, nie będą wiedzieć, jakim kosztem zostało wykonane to dzieło.

„Kirgiz schodzi z konia" obwołano jako książkę roku 1968. Ten tytuł przypadł Kapuścińskiemu jak najbardziej zasłużenie. Pozycja ta okazała rangę dobrego reportażu, który literackim rzemiosłem nie ustępuje w niczym literaturze opartej na fikcji, ma jednak tę zaletę, że mówi o rzeczach sprawdzalnych, o faktach.

W głąb kraju

PODRÓŻE w głąb kraju są równie interesujące, a często nawet bardziej, niż zagraniczne wojaże. Przekonuje o tym szczególnie lektura dwu książek w ostatnim czasie wydanych.

„Co się komu śni"[3] Andrzeja Mularczyka podejmuje temat wojny, która choć dawno minęła, ciąż w wielu z nas trwa. Niewątpliwie najsilniej w polskim reportażu tę rozległą i skomplikowaną problematykę podnosił Krzysztof Kąkolewski. Wystarczy wymienić takie jego książki jak „Trzy złote dni słowo" i „22 opowieści, które napisało życie". Ta uwaga gwoli oddania sprawiedliwości. Przecierać szlaki, to zadanie pionierskie. Warto o tym pamiętać, choćby przy omawianiu innych pozycji o zbieżnej tematyce. Zawodowi krytycy nie zawsze takie fakty dostrzegają.

Andrzeja Mularczyka „Co się komu śni" czyta się z niesłabnącym zainteresowaniem. Jakże dramatyczne, pokomplikowane, pełne najbardziej nieprzewidzianych niespodzianek były losy Polaków... Każda ze zgromadzonych relacji starczyć może na powieść. Podany wątek fabularny, w swoim lakonicznym zapisie, stanowi dokument nie tylko historyczny, lecz i psychologiczny. Ileż w tych reportażach przewija się charakterów, ile niezwykłych postaw, ile przeróżnych epizodów z lat ostatniej wojny, mającej swój dalszy ciąg w dniu dzisiejszym. Zgromadzenie tego materiału, dotarcie do najodleglejszych miejscowości Polski, nagrywanie setek rozmów (czuje się autentyzm monologu), wielka fascynacja sprawami znanymi reporterowi przecież nie z autopsji — czynią z książkę ważnym kompendium do poznania historii najnowszej naszego kraju.

Dochodzi w końcu do tego, że reporter jak by na nowo rozpętuje tę wojnę i — jak sam powiada — wydobywa ją ze snów. Kupiony na imieniny ojcu podarunek książkowy „Za honor i Ojczyznę" gen. Juliusza Rómmla zawiera dodatek do rozkazu z 13 IX 39, mówiący o nadaniu orderu Virtuti Militari ppłk Józefowi Mularczykowi i 10 krzyży Virtuti Militari do dyspozycji dowódcy pułku. Ten rozkaz nie dotarł już do ojca reportera. *Dowiedział się o tym dopiero teraz. Leżący w szufladzie jego biurka Srebrny Krzyż Virtuti Militari nadany mu został za działalność w konspiracji. A oto ma jeszcze ich dziesięć!*

— Komu byś je dał? — spytałem. Nie było odpowiedzi. Stał jakby nieobecny, laska, na której się wspierał po ciężkiej operacji (skutek wojennych kontuzji) — drżała. Po tym poznałem, że znów prowadzi wojnę.

Obfituje książka Andrzeja Mularczyka w podobnie niezwykłe historie. Jej lektura pochłania, budzi przeróżne refleksje, niepokoje, wspomnienia. Jest jedną z najlepszych pozycji w historii powojennego polskiego reportażu.

O tym, czym żyje „prosty" człowiek, nazywany też szarym, szeroką opinię publiczną informuje najlepiej Janusz Rolicki, wcześniej reporter „Polityki", obecnie „Kultury". W jakie rejony życia już się on nie zapuszczał! W swoim debiutanckim tomie „Brałem łapówki", przyjętym nader życzliwie przez czytelników i krytykę, przeistaczał się w robotnika niewykwalifikowanego i na budowie podawał wapno, pracował w PGR Dołhobyczów przy wykopach buraków, łowił ryby na morzu, jadł chleb komiwojażera, był junakiem i świnopasem z biletem I klasy, no i wreszcie jako likwidator szkód gradowych PZU brał łapówki. Czy dłużej mógł się przebierać i pisać reportaże niejako na własnej skórze? Był już na tyle popularny, że chyba o dekonspirację byłoby łatwo. Z drugiej znów strony powtarzanie tej samej metody przeczyło ambicjom reportera. Wybrał więc inną drogę. I tak powstała druga jego książka, równie interesująca, choć niewątpliwie głębsza niż poprzednia: „Z życiem pod pachę"[4]. Jest w tej książce inny Rolicki. Fascynuje go codzienność. Interesują „ordoniarze", ci, co pracują bez etatów i dniówek na rampie, szukając zarobku na wódkę i chleb. Taki jest Indian, Krzywy, Dzieciorób, Kabanos...

Egzotyka? Nie tylko. Zdecydowanie coś więcej... Od środka niejako pokazuje nam Rolicki tych, którzy się urodzili w niedzielę i nie chcą pracować ani się uczyć, lecz coś trzeba z nimi robić. Jak to jest na wycieczce Polaków w Wiedniu i jak na turystycznym wypadzie organizowanym przez radę zakładową, co przeżywa Zośka z Hrubieszowa w czasie próbnych przyjęć do warszawskiego baletu — o tym też wnikliwie i żywo pisze reporter. Świetnie podpatrzone scenki rodzajowe, osobliwy język bohaterów, wykazujący jak różna i barwna jest ta nasza polszczyzna, bardzo na korzyść przemawiają za „Z życiem pod pachę" w porównaniu z „Brałem łapówki". Więc jeśli chcecie np. dowiedzieć się, jak wygląda praca wróżki, co oferuje salon automobilowy na Dzikiej, czym zajmuje się cieć, stary dozorca z wiekowego domu — czytajcie Rolickiego! Ten reporter prawdę wam powie...

1) Izabela Czartoryska: „Dyliżansem przez Śląsk" Dziennik podróży do Cieplic w roku 1816. Z francuskiego przełożyła oraz wstępem i przypisami opatrzyła Jadwiga Bujańska. Ossolineum 1968.

2) Ryszard Kapuściński: „Kirgiz schodzi z konia". Czytelnik 1968.

3) Andrzej Mularczyk: „Co się komu śni". Iskry 1968.

4) Janusz Rolicki: „Z życiem pod pachę". Iskry 1968.

Panie hrabio herbatka!

Romuald Wiśniewski

PANIE hrabio, herbatka — mówi Jan i wnosi na plastikowej tacy szklanki. Jan ma na sobie lokajską kamizelkę z rękawami i przodem w biało-czarne prążki, taką, jaką dziś u nas można zobaczyć tylko na filmie lub w teatrze.

— Niech Jan zdejmie tę liberię i przestanie się zgrywać — mówi hrabia. A do mnie: — On tak zawsze, jak przyjdzie ktoś obcy. Chce zaimponować. Dowiedział się, że pracujesz w redakcji, więc odstawia cyrk...

Tu muszę wyjaśnić, skąd wytrzasnąłem tego hrabiego i dlaczego jestem z nim na ty, no bo przecież hrabiowie na kamieniu się nie rodzą, tylko na ogół w pałacach, lub starych zamkach z duchami czarnych albo białych dam. Mojego natomiast przyuważyłem pierwszy raz w poczekalni Wojskowej Komendy Rejonowej Lublin-miasto. Stał przede mną w kolejce taki sobie dryblasowaty ciemny blondyn i kiedy doszedł do okienka a pan sierżant spytał go o nazwisko, wymienił takie, że mnie to zainteresowało. Bo właśnie czytałem „Sztandar Ludu" i było pół szpalty ogłoszeń zawiadamiających, że cała familia Kupermanów przybiera sobie takie, jakie wymienił blondyn. Sierżant też chyba czytał ogłoszenie.

— Nazwisko było zmieniane? — spytał.

— Nie, moja rodzina nosi je od roku 1500 któregoś tam — powiedział blondyn; wymienił dokładnie, ale ja nie starałem się zapamiętać.

— Zawód ojca? — wypisywał mu dalej ankietę sierżant. — Rolnik. — Małorolny, średniorolny, kułak? — Średniorolny. — Ile ma ha? — Teraz nie ma; miał. — Ile? — 360. — Co? — 360. — A koni, krów, świń? — Koni około 50, krów ze 200, a świń, to nie wiem. — Wy mi się nie wygłupiajcie — ryknął wtedy pan sierżant. — Nie zostaliście wezwani dla żartów. Ja tu mam instrukcję i w niej pisze, od ilu hektarów jest średniorolny, a od ilu do ilu kułak. 360 nie ma w ogóle. No gadać, ale już! — ryknął raz jeszcze i może słusznie się denerwował, bo ta rozmowa odbywała się jeszcze w okresie błędów i wypaczeń i wszystko musiało być dokładnie wypisane według instrukcji. Przyszedł jeszcze jeden sierżant, zrobiła się straszna chryja, a ja musiałem czekać w kolejce, aż oni to załatwią.

— No, a co ty byś im powiedział, będąc na moim miejscu? — spytał mnie hrabia, gdy spotkałem go ponownie po kilku latach i poznawszy, przypomniałem tamto zdarzenie z sierżantem. Mówiliśmy sobie od razu przez ty, bo spotkaliśmy się w areszcie garnizonowym w Krakowie, gdzie inne zwroty towarzyskie nie są praktykowane. Ja przyjechałem do tego miasta służbowo i zostałem zatrzymany przez patrol, niewinnie oczywiście, bo w wojsku zawsze wsadzają niewinnie, on siedział rzecz jasna też niewinnie, jak powiedział, a potem dowiedziałem się, że udzielał korepetycji swemu majorowi, który miał zdawać na wieczorówce maturę, i przy okazji zaczął przystawiać się do jego córki. Major dał córce po pysku, on stanął w jej obronie i po tej całej drace wylądował w kiciu.

— No i co miałem wtedy powiedzieć sierżantowi? — spytał mnie raz jeszcze. — 360, to jak na warunki okolicznych majątków było średnio. Stary mój z zawodu faktycznie był rolnikiem, za kułaka przedstawić się nie mogłem, bo sam sierżant powiedział mi potem, że kułak jest do 50 ha, zresztą kułak był wtedy wrogiem klasowym, a rozparcelowany były posiadacz majątku już tylko eksponatem z muzeum. Nie?

Kiblowaliśmy wtedy przez 3 dni, wypuścili nas jednocześnie, mnie po wyjaśnieniu nieporozumienia, a jego na interwencję majora, a właściwie majorówny. I przez te trzy dni jak straż zjawiała się po nas na posiłki, to profos, który pochodził z jego wsi, otwierając celę meldował ze złośliwym uśmiechem: — Panie hrabio, nakryto do obiadu.

— Pamiętasz tego profosa z Krakowa? — wspomina hrabia. — Studiowaliśmy potem na jednym roku, na zaocznym. Teraz jest we Wrocławskiem sekretarzem KP PZPR, duża szycha, ale całkiem przyjemny chłopak, tylko jęzor ma ciągle niewyparzony, jak się spotkamy, to zawsze klepie mnie po plecach i mówi: „cześć hrabio, jak ci leci w socjalizmie?"

— Ja nie wiem, o co pan się obraża? — dziwi się Jan. — Czy to wstyd pochodzić z rodu, który wydał trzech biskupów, jednego generała i czterech starostów...

— ...oraz długi szereg pośledniejszych osobników — kończy hrabia.

— No, no, herbarz Paprockiego poświęca pół strony pana rodowi...

— Ten ciągle swoje! Wiesz, starzy moi mieli to mieszkanie we współdomie, zajmowała je ciotka i po reformie rolnej Jan przyjechał z nami do Lublina. Na wsi służba nie była potrzebna, a on na zakładanie własnego gospodarstwa rolnego czuł się za stary, a może nie bardzo lubili go nasi chłopi, więc poszedł do pracy w tym samym przedsiębiorstwie, co ojciec. I tak tu mieszkał z nami. Od czasu jak otrzymał rentę — a stało się to wkrótce po śmierci ojca — zrobił się zupełnie niemożliwy. Wygrzebał skądś ten swój ubiór, łazi do bibliotek i rozczytuje się w starych papierzyskach, mówi mi ciągle o herbach, przodkach, koligacjach, zupełnie, jak by był lewym synem mego dziadka. Zaczął przesiadywać w „Lubliniance" i zna już prawie wszystkich rozparcelowanych facetów, którzy tam przychodzą na kawę. A najgorzej, że tytułuje mnie publicznie „hrabio". Skleroza! Jak kto usłyszy, parska śmiechem. No, nie komedia? Więc ja mu dla równowagi o nierównościach społecznych, wyzysku i rewolucji socjalnej. Nie, nie dlatego, żebym był taki czerwony. Jakby mi kto tak sprezentował ze 100 patyków, to bym chętnie przyjął, byłoby na „Syrenę" i dobrą wycieczkę zagraniczną. Ale co to są pieniądze? Nic. Raz pojechałem z matką na grób dziadków. Matka jak zobaczyła ten pałac, który dawniej był nasz, to się popłakała. Ale ja... Człowieku, za nic bym się tam nie przeniósł! To wlocha, dziura, umarłbym z nudów. Wolę swoje mieszkanie w Lublinie i 2 i pół patyka miesięcznie na państwowej posadzie. Ja zresztą mógłbym sobie trochę dorobić, jeszcze parę groszy, ale co się będę męczył? Co mi to da? Znasz K., tego inżyniera? Ubrany jest dwa razy lepiej ode mnie, w domu ma wszystko, telewizor, pralkę, lodówkę i wszystko, co tam się daje kupić w sklepie, zawsze ogolony, ostrzyżony, wypucowany — i co z tego? Chłop przecież do rzeczy, postawny, żonę ma piękną, ale ona, to widać, aż piszczy, żeby mu zwiać od tej akuratności i gdzieś z kim pobałaganić. Gdyby nie to, że nie zadaję się z mężatkami, poderwałbym ją jak nic. Uważasz, że inżynierek jest taki szczęśliwy? No, a co Jan myśli o tym?

— Gram w totka i jak mi się powiedzie, to na pewno kupię samochód, wyrobię sobie prawo jazdy i będę pana woził. Na pewno nie jestem za stary. I wzrok też mi dopisuje. Ech, zawsze zazdrościłem szoferowi nieboszczyka ojca pana — rozmarza się Jan. — A pan hrabia to nie ma dumy. Nieboszczyk świętej pamięci za młodu też uganiał się za kobietami, owszem, nie powiem, był i skandalik jak raz jeden fornal przyleciał z klonicą do dworu w sprawie swojej córki. Ten fornal to potem chciał robić bunt, że płace za małe, a po wojnie był w komitecie parcelacyjnym. Ale panicz nie ma już tego sprytu, żeby tak po cichu, szach mach, tylko wszyscy wiedzą. Jak pan był po maturze w brygadzie SP w Gliwicach, to chciał pan się żenić z kelnerką. A ta studentka, co teraz pana z nią stale widują, to podobno córka krawca? Coś podobnego!

— Panie Janie — wtrącam — krawiectwo to bardzo popłatny fach.

— Tak, pożyteczny, ale nie na teścia dla młodego hrabiego. A poza tym — pochyla mi się do ucha — bardzo proszę, żeby pan tu do mnie mówił per Jan, bez pana. Jeśli się spotkamy w mieście, to co innego. Goście nieboszczyka też zawsze mówili mi po imieniu. Tradycję trzeba szanować. Taki herb, taka piękna przeszłość, a młody panicz hrabia zupełnie nie zna się na tym. Biedneńki, on mało pamięta jak mieszkał w pałacu, jakie były przyjęcia. Ja podawałem na srebrnej tacy. A on nawet smokingu nie ma, proszę pana! Tylko ta pensyjka, wczasy na Mazurach, garniturek. Kupuje gotowe! Co to się porobiło? Znam innych panów. Starsi to trzymają fason, lecz młodzi to już nie. Nawet nie zdają sobie z tego sprawy. Ja jestem niezależny, ustrój mi się podoba, dużo się dokształcam, ale uważam, że każdy powinien znać swoje miejsce.

— Janie, niech Jan nie truje, tylko kończy pić; dobry lokaj jak znał swoje miejsce, to przynosił herbatę dziedzicowi i jego gościom, a sam pił w kuchni, nie tak jak Jan z nami — mówi młody panicz hrabia, który zbliża się już do czterdziestki. — I niech Jan nakłada kapotę, pójdziemy „Pod Basztę" strzelić sobie po setce. Wiesz — informuje mnie — dowiedziałem się, że Jan często odwiedza tę knajpę i tam pozuje na rozparcelowanego hreczkosieja z Kresów. Świat pracy jest litościwy, stawiają mu. Spauperyzowała nam się arystokracja, co?

Prasa zakładowa

Głos FSC
TYGODNIK SAMORZĄDU ROBOTNICZEGO LUBELSKIEJ FSC

W FABRYCE Samochodów Ciężarowych w Lublinie wydawane jest pismo zakładowe „Głos FSC". Jest to najstarszy tego typu periodyk w województwie i jeden i z najstarszych w Polsce. Pierwszy numer pisma ukazał się w czerwcu 1951 roku — jeszcze przed rozpoczęciem produkcji przez FSC. Wydany był jako „Organ Komitetów Fabrycznych PZPR, ZZ, ZMP, Rad Zakładowych FSC i Zjedn. Bud. Przem." Następne numery wychodziły w różnych odstępach czasu, w różnej objętości i formacie. Redagował je komitet społeczny, na którego czele stał Włodzimierz Smutek. (Obecnie zastępca naczelnego redaktora „Sztandaru Ludu").

Obecnie „Głos FSC" jest organem Samorządu Robotniczego Lubelskiej FSC. Ukazuje się raz w tygodniu w objętości 6 stron formatu A3 (nieco mniejszy od „Kameny"). Drukują go Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN (drukarnia prasowa) na maszynie płaskiej. W dniu 27 marca br. ukazał się numer 565. Nakład 3 200 egz. rozchodzi się w całości w prenumeracie, poprzez społecznych kolporterów zakładowych. Cena prenumeraty — 15 zł rocznie.

Kolegium redakcyjne składa się z 19 osób. W jego skład wchodzą przedstawiciele organizacji politycznych i społecznych, działających w zakładzie, przedstawiciele wydziałów produkcyjnych i służb technicznych oraz etatowi pracownicy redakcji.

Redaktorem naczelnym „Głosu" jest Józef Kuźnicki, sekretarzem redakcji — Leopold Górski, redaktorem technicznym — Czesław Matuszek. Kierownictwo polityczne nad gazetą z ramienia KF PZPR sprawuje sekretarz propagandy KF, Bernard Pirogowicz, który jako były wieloletni jej naczelny redaktor, związany z pismem emocjonalnie, pomaga w pracach redakcyjnych „na roboczo". Ponadto przy Społecznym Fabrycznym Ośrodku Propagandy Partyjnej istnieje komisja do spraw prasy i radia, której zadaniem m. in. jest pomoc gazecie.

Zespół redakcyjny składa się z czterech osób — zawodowego dziennikarza, mającego za sobą kilkuletnie doświadczenie z pracy w piśmie codziennym o wysokim nakładzie; działacza społeczno-kulturalnego; dziennikarza, który przeszedł do pracy w redakcji z produkcji i zna dobrze problemy techniczne i ekonomiczne fabryki oraz absolwentki studiów humanistycznych. Ponadto jedna osoba zajmuje się sprawami administracyjnymi. Wynagrodzenie pracowników redakcji gazet zakładowych reguluje specjalna uchwała CRZZ — w odniesieniu do zespołu redakcyjnego jest ona przestrzegana, jakkolwiek sprawa premii budzi zastrzeżenia, ponieważ otrzymują ją w wymiarze przewidzianym dla pracowników o normowanym czasie pracy, podczas gdy praca w redakcji nie da się tym normom podporządkować.

Przeważająca ilość materiałów zamieszczanych na łamach „Głosu FSC" dotyczy spraw produkcyjnych, a zwłaszcza poprawy jakości wyrobów, oraz zagadnień socjalno-bytowych. Zdaniem członków kolegium pismo nieco za mało pisze o tych trudnościach fabryki, których rozwiązanie zależy nie od dyrekcji i załogi, lecz od czynników zewnętrznych (np. braki w zaopatrzeniu). Ogółem jednak pismo publikuje dużo materiałów krytyczno-postulatywnych. Krytyka przeważnie odnosi skutek (np. po kilku artykułach usprawniony został system ogrzewania niektórych pomieszczeń produkcyjnych).

„Głos FSC" zamieszcza w każdym numerze dużo zdjęć, ilustrujących życie fabryki, wykonywanych przez zakładowego fotografa, Kazimierza Wieruckiego.

Pismo posiada kolumny specjalistyczne redagowane przez osobne zespoły. Są to: „Racjonalizator", redagowany przez kolegium redakcyjne przy służbach technicznych; „Trybuna Młodych", pod opieką KF ZMS; „W kręgu spraw szkolnych", kolumna redagowana przez młodzież ze szkół przyzakładowych pod hasłem „Fabryce o sobie"; „Na szlaku" i „Na start" poświęcone sprawom wypoczynku, turystyki i sportu. Ostatnio wprowadzono nową kolumnę — „Profile". Ta ostatnia, chociaż wydawana przez Robotniczy Klub Literacki przy Zakładowym Domu Kultury FSC, nie wydaje się zbyt potrzebna, jako że zamieszcza głównie utwory mało znanych tu autorów (nie pracujących w FSC) i nie jest zbyt popularna wśród pracowników zakładu.

Redaktorzy „Głosu FSC" w ramach swoich obowiązków zawodowych redagują audycje rozgłośni fabrycznej nadającej własny 15-minutowy program trzy razy dziennie. Rozgłośnią kieruje red. Czesław Matuszek. Dzięki staraniom dyrektora naczelnego fabryki Gustawa Krupy i I sekretarza KF PZPR, Stefana Michaluka „Radio FSC" jest bardzo dobrze wyposażone technicznie.

O popularności pisma wśród załogi świadczy, że co trzeci pracownik jest prenumeratorem gazety. Zasługi dla fabryki i załogi ocenił Zarząd Główny ZZ Metalowców, honorując „Głos FSC" złotą odznaką jubileuszową ZZM.

A. K.

Winieta pierwszego numeru.

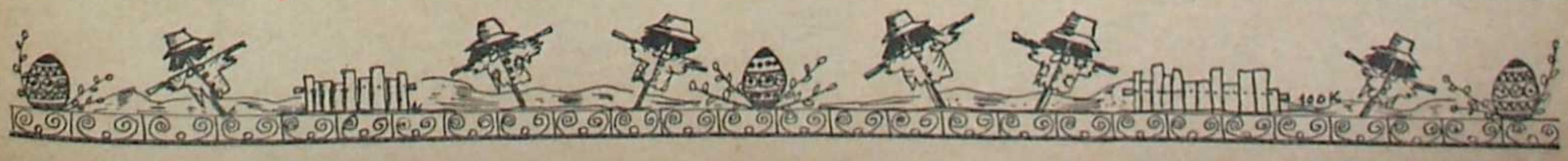

Przed 30 laty

Marcowa mobilizacja

Jerzy Dostatni

STAWIĆ się należy natychmiast, korzystając z najbliższego środka lokomocji, nie później jednak, niż jutro do godz. 12 w południe... Dalej wyjątek z jakiegoś przepisu, który za niestawiennictwo w oznaczonym czasie groził sądem wojskowym...

Nie pamiętam dokładnej daty, kiedy otrzymałem taką pisemko, w każdym razie było to już po zajęciu Kłajpedy przez wojska hitlerowskie, a więc w ostatnim tygodniu marca 1939 roku. Może zresztą ten właśnie fakt zadecydował o dwóch sprawach: przeprowadzaniu w Warszawie na wielką skalę ćwiczeń obrony przeciwlotniczej oraz wysłaniu pewnej ilości takich pisemek, będących czymś pośrednim pomiędzy wezwaniem na okresowe ćwiczenia wojskowe a kartą mobilizacyjną.

Jak większość Polaków i ja nie wierzyłem w wybuch wojny, stąd tego dnia dość beztrosko — jak tysiące innych warszawiaków — chodziłem sobie po ulicach, mimo że krążące nad miastem samoloty rzucały pozorowane bomby burzące, zapalające i gazowe. Do Działdowa, gdzie stacjonował jeden batalion mojego macierzystego 32 pułku piechoty, jechałem już podniecony. Przecież przed trzema laty tłumaczono nam na IV Dywizyjnym Kursie Podchorążych w Pułtusku, że podobne wezwania mogą być wysłane tylko w wyjątkowych okolicznościach.

Koszary znajdowały się na skraju Działdowa. Ani w mieście ani w budynku dowództwa pozornie nic się nie działo. Ale zadziwiała nie spotykana w poprzednich latach szybkość, z jaką wydano nam mundury i przydziały do jednostek. Nam — to znaczy kilkunastu podchorążym i podporucznikom, którzy stawili się tego dnia. Pierwsza większa niespodzianka: otrzymujemy najnowszej (i doskonałej wówczas) konstrukcji pistolety „Vis" z ostrą amunicją. Dawniej nosiło się je normalnie na pasie, kaburę zaś wypychało drewnianą atrapą albo po prostu zgniecioną gazetą, aby mimo koalicyjki nie przekrzywiały pasa. Teraz dodatkowo trzeba ją było przywiązać do szyi ładnie zresztą plecionym sznurem skórzanym. A jednocześnie surowo uprzedzono: bezwzględnie zawsze nosić przy sobie z pełnymi magazynkami i jednym pociskiem w lufie.

Potem, w koszarach, inne niespodzianki. Warta przy bramie wejściowej dwa razy silniejsza niż zwykle. Wzdłuż muru wokół koszar sznur wartowników, których tu dawniej nigdy nie było. Bez specjalnego zezwolenia dowódcy batalionu nie wolno wychodzić z koszar, bez zezwolenia dowódcy kompanii — z budynku koszarowego. W nocy — pełne zaciemnienie, spać wolno tylko w mundurach. Karabiny żołnierzy wyczyszczone, gotowe do użytku, każdy dowódca plutonu posiada już ostrą amunicję dla swoich żołnierzy. Od chwili ogłoszenia alarmu do zakończenia zbiórki na placu mogą upłynąć najwyżej trzy minuty.

— Jeśli zdążymy, panie podchorąży — dodawał szef kompanii sierżant Słonina.

Po dwóch tygodniach surowy reżim nieco zelżał i zaczęliśmy odbywać normalne ćwiczenia, ale zawsze w pobliżu koszar. Dowódcą mojej kompanii był jakiś zawodowy podporucznik o nazwisku na „ski", który zawsze chodził z pięknym okazem owczarka podhalańskiego. Mówiono, że to Kaszub z pochodzenia. Interesował się bardzo naszymi osobistymi życiorysami, wypytywał, co o tym wszystkim myślimy, co mówią żołnierze. Odpowiadaliśmy zgodnie z prawdą, podziwiając w duchu, jak bardzo interesuje się swymi podkomendnymi. Nie zwróciłem żadnej uwagi na to, że szczególnie lubił rozmawiać właśnie ze mną, gdy dowiedział się, że moi przodkowie ze strony matki mieli niemieckie nazwisko.

Zrozumiałem wiele półtora roku później. Zwolniony już (z nigdy nie wykonanym nakazem trzykrotnego w ciągu dnia meldowania się) z przesłuchań w gestapo przy Al. Szucha, pracowałem jako magazynier w firmie „Bracia Pakulscy", dzięki czemu prawie nie potrzebowałem chodzić po ulicach. Wydawałem również na specjalne upoważnienia owoce południowe, oczywiście tylko Niemcom. Ceny były przedwojenne, coś 10 razy niższe od „czarnorynkowych". Pewnego dnia przyjechało kilku Niemców, jak zwykle w cywilu, ale jeden był w mundurze porucznika Wehrmachtu. Gdy wszedł do kantorku, na moment osłupiałem. To był „mój" podporucznik z Działdowa! Na szczęście w magazynie panował półmrok, a mnie udawało się tak lawirować, że zawsze byłem do niego odwrócony plecami. A jego bardziej interesowały wydawane przez magazyniera bułgarskie brzoskwinie, niż sam magazynier.

Pewnego dnia w koszarach zaczęto opowiadać, że między Działdowem a Mławą, gdzie znajdowały się umocnienia obronne, pojawił się samochód z kilkoma polskimi oficerami. Przeprowadzili inspekcję pewnego odcinka tych umocnień i dopiero, gdy jakiś bardziej służbisty oficer zażądał od nich okazania upoważnienia na dokonywanie inspekcji, odjechali. Przez telefon wyjaśniono, że nikt nie wysyłał żadnej inspekcji. Zarządzono pościg i złapano osobnika w mundurze polskiego pułkownika, który okazał się agentem wywiadu niemieckiego.

Wypadła mi właśnie funkcja dowódcy warty. Gdzieś koło południa wartownik ryknął: Warta pod broń! Wybiegliśmy w kilkunastu z bronią gotową do strzału. Przed bramą stały dwa samochody osobowe, w jednym z nich generał polski. Zgodnie z regulaminem nakazałem prezentować broń, ale podszedłem do samochodu z generałem, zameldowałem się i jednocześnie poprosiłem o legitymację. Siedzący obok kierowcy generał spojrzał na mnie ze zdumieniem, ale jego adiutant końcami palców podał mi jakiś papier. W tej chwili zorientowałem się, że mam przed sobą generała Miot-Fijałkowskiego (późniejszy dowódca grupy operacyjnej „Narew"), którego w poprzednich latach widywałem kilkakrotnie na manewrach. Dla porządku pochyliłem się nad papierem, zasalutowałem i kazałem otworzyć bramę. Ale chociaż generał okazał się prawdziwym generałem, podbiegłem za samochodami aż do budynku dowództwa i potem szedłem za przybyszami aż zniknęli za drzwiami dowódcy batalionu. Później mówiono mi, że generał był oburzony moim zachowaniem się i nasz major obiecał, że mnie ukarze, ale nic takiego nie nastąpiło.

Pewnej nocy usłyszałem w sali krzyk: alarm! Spaliśmy już w bieliźnie, więc do zbiórki minęło chyba pięć minut. Nasłuchiwałem z niepokojem, czy słychać samoloty. Na szczęście nie, ale chyba cały pluton był przekonany, że wojna już się zaczęła. Ręce nam się trzęsły ze zdenerwowania, serca skakały gdzieś pod gardło. Miasto znów było całkowicie zaciemnione, co jeszcze bardziej podnosiło grozę. Gdy zjawił się dowódca batalionu — major, cieszący się szacunkiem w całym garnizonie, sprawa wojny wydała mi się przesądzona. Przecież nie wiedzieliśmy, jak to będzie wyglądało w rzeczywistości.

Ale po kilku zdaniach majora jedno napięcie ustąpiło drugiemu. Wojny nie ma, ale idziemy na placówkę tuż nad linią graniczną. W hełmach, z ostrą amunicją, maskami przeciwgazowymi; za chwilę dostaniemy prowiant suchy na dwie doby. Ani w drodze, ani na miejscu żadnych rozmów, ani jednego papierosa, broń nabita, strzelać tylko w razie bezpośredniego ataku. Na czele placówki staje porucznik (nazwiska nie pamiętam), który w razie potrzeby wyda na miejscu konieczne rozkazy.

— Pamiętajcie, chłopcy — zakończył major — że od was może zależeć przyszłość kraju!

Wielkie słowa. Dzisiaj wydają się może śmieszne czy niepoważne, ale wtedy, rzucone do grupki żołnierzy w ciemną noc gdzieś na skraju Rzeczypospolitej, brzmiały jak marsz triumfalno-pogrzebowy czy przepustka do historii...

Stosując drobiazgowo wszystko, czego nauczono nas w czasie służby wojskowej, zajęliśmy stanowiska: jedna drużyna w tyralierze, dwie w odwodzie. Chyba nie ja jeden chwilami czułem się jak przyszły bohater, chwilami odczuwałem zwykły, ludzki strach, chwilami wpojone w wojsku junactwo: tylko przyjdźcie, to zobaczycie... Mimo ciemności i całkowitej ciszy, przerywanej tylko czasem szczekaniem psa po nie wiadomo której stronie granicy, leżeliśmy spłaszczeni do granic możliwości, nie odczuwając zimna. Nawet podniesienie głowy wydało mi się niedopuszczalne, chociaż nie miało to żadnego znaczenia w nocy.

Pewne odprężenie przyszło dopiero o świcie, gdy wzrok zaczął obejmować coraz większą przestrzeń. Jakieś sto, może sto dwadzieścia metrów przed nami przebiegała linia słupów granicznych z białymi orłami. Drugiej strony nie mogłem dojrzeć. Dalej, znów jakieś sto metrów, kępa krzaków, a w niej, jak by podobna do naszej, placówka. Po raz pierwszy w życiu przez lornetkę zobaczyłem wtedy żołnierzy niemieckich. Czas i późniejsze wydarzenia zatarły już ówczesne doznania, ale pamiętam, że chwilami pragnąłem bardzo, aby wreszcie wstali i zaczęli biec w naszą stronę. Nie kojarzyło mi się to wcale z wielką wojną, a tylko z tym, co się rozegra na tym małym kawałku ziemi, na którym my pozostaniemy jako zwycięzcy. I że po dotkliwej porażce Hitler i Goering zmiękną, świat wróci do normy, a ja do Warszawy...

W tej chwili nasz porucznik zarządził odwrót. Wyczołgaliśmy się do tyłu, jeszcze niżej, potem jakimś niskim zagajnikiem do drogi. Tu już uformowaliśmy czwórki. Dopiero teraz dało o sobie znać zmęczenie fizyczne. W pewnej chwili odczułem gwałtowną potrzebę snu. I potem nie chciałem wierzyć żołnierzom, iż spałem idąc, trzymany za rękaw przez jednego z nich.

Przez dwie lub trzy następne noce podobne placówki zaciągały inne plutony, potem skończyło się. Przypuszczalnie było to związane z jakimiś wypadkami czy rozmowami, o których nie mieliśmy pojęcia i widocznie sytuacja była tak napięta, iż gdzieś w sztabie obawiano się, że w każdej chwili może coś nastąpić. Może zresztą chodziło tylko o demonstrację, o pokazanie placówkom niemieckim, że my też pilnujemy granicy.

Gdy nie działo się nic specjalnego, po południu dla podchorążych i podporuczników rezerwy urządzano tzw. ćwiczenia sztabowe. Chodziło o rozwiązywanie zadań taktycznych na małych odcinkach, szkicowanie linii obrony czy dróg ataku, prawidłowe rozmieszczanie broni maszynowej, opisową metodę zwalczania czołgów nieprzyjacielskich itp. Ćwiczenia te najczęściej prowadził major Jasiński, stanowiący typowy przykład ograniczonego umysłowo bufona, któremu świeżo przyznany stopień majora do szczętu przewrócił w głowie. Żołnierze starszego rocznika, jak również niektórzy podoficerowie wciąż mylili się (celowo), tytułując go niby z przyzwyczajenia kapitanem. Wprawiało go to zawsze we wściekłość i wtedy był jeszcze bardziej śmieszny.

Zajęcia prowadzone przez niego były właściwie parodią szkolenia. Zawsze nawracał do dwóch tematów. Pierwszym było zachowanie się w razie ataku czołgów nieprzyjacielskich. Trzeba było odpowiadać: chowam się za węgieł domu, czekam aż czołg podjedzie, potem wyskakuję, następnie czołgam się i

→

Trzy spotkania z Lublinem

Dokończenie ze str. 1

miejsce pracy. Świat zamykał się w ramach szpitala, na którego czele stał lubelski chirurg, doktór Kożuchowski. Wokół byli Niemcy. A tutaj polecenia wydawał jeszcze polski lekarz, tutaj leżeli polscy żołnierze, tu była ostatnia zorganizowana placówka polska. Szymański pracował w szpitalu jako pielęgniarz. Jego wojenny kolega, Włodek Stysło, piastował funkcję szpitalnego portiera. Obydwu młodych ludzi wkręciła do szpitala lubelska ciotka Stysły, pani Serkies.

Powoli mijało pierwsze okupacyjne przygnębienie. W Lublinie Szymański spotkał wielu znajomych ze szkoły podchorążych. Zaczęli wspólnie przemyśliwać nad sprawą przedarcia się na Węgry. I kto wie, jak by się potoczyły dalsze losy podporucznika, gdyby nie długa rozmowa z rannym oficerem z 8 pułku piechoty z Lublina, który leżał w jednej z sal szpitalnych. Właściwie oficer ów szermował przez cały czas dyskusji jednym tylko, ale za to mocnym argumentem: „Po co opuszczać kraj, kiedy wkrótce będzie dosyć roboty na miejscu?" Prosta logika kłóciła się z młodzieńczym romantyzmem, z perspektywami przygody w dalekich krajach. Logika zwyciężyła i... to właśnie dzięki niej miał wkrótce Szymański wkroczyć w najbardziej „awanturniczy" okres swojego życia.

Po dwóch tygodniach pracy w szpitalu Stysło wyruszył do Włodzimierza Wołyńskiego szukać ojca, Szymański zaś powędrował na zachód, do rodzinnych Końskich. Kiedy się żegnali, obiecali sobie, że wkrótce znowu się spotkają i będą szukać konspiracyjnych kontaktów. Do spotkania doszło — i to przypadkowo — prawie po dwóch latach.

Podporucznik Marek Szymański opuszczał Lublin w połowie października 1939 r. z „plecakiem", przypominającym raczej dziadowską torbę, uszytym przez ciotkę Włodka Stysły. W tej torbie niósł ocalały mundur i wydrążony bochenek razowca, w którym przemyślna pani Berkies ukryła wielką bryłę przetopionej słoniny.

• • •

Całą drogę z Lublina do Końskich przebył piechotą. Miał już w tym niemałą zaprawę. W rodzinnym domu zabawił niedługo. Wkrótce doszła go wieść, że w pobliżu Radoszyc kręci się jakiś polski oddział. Zapakował do tobołka wojskowy płaszcz i po kilku dniach zameldował się w Zychach Hubalowi. Na pytanie majora, co i dlaczego skłoniło go do zgłoszenia się w oddziale, Szymański rąbnął prosto z mostu: „A co się miałem namyślać? Rozkazu demobilizacji nie było!" Kazali mu więc wymyślić sobie pseudonim: krótki i łatwy do zapamiętania. Przyszedł na myśl ptak, sęp. I tak został „Sępem".

Kiedy major Hubal przybył do Zych, miał pod swoją komendą dziesięciu żołnierzy. Gdy po ośmiu dniach postoju wyruszał do Cisownika, Oddział Wydzielony Wojska Polskiego liczył już szesnastu ludzi. Wśród nich cwałował na koniu zagarniętym we wrześniu z janowskiej stadniny podporucznik saperów „Sęp", czasowo przekwalifikowany na kawalerzystę.

Od tej pory „Sęp" pozostaje w oddziale konnym aż do chwili zakończenia bitwy pod Huciskiem. W listopadzie i grudniu koczuje wraz z towarzyszami broni w ostępach lasów spalskich, bierze udział w uroczystej wigilii na Bielawach, pełni służbę patrolową podczas postoju oddziału w Gałkach Krzezonowskich. Jest też w grupie młodych oficerów, którzy 13 marca 1940 r. podczas częściowej demobilizacji oddziału pozostają przy majorze.

• • •

Około południa, w sobotę 30 marca 1940 r., oddział Hubala stacza pod Huciskiem zwycięską walkę z przeważającymi siłami wroga. W tej pierwszej partyzanckiej wielkiej bitwie odznacza się m.in. „Sęp". Tutaj też zasługuje sobie na awans — zostaje mianowany przez Hubala dowódcą piechoty. Ostatnim dowódcą. Po walce Hubal, zdając sobie sprawę z przewagi Niemców, wycofuje się na południe, przez Odrowąż do wsi Szalasy. Przez całą niedzielę, 31 marca, w Szalasach panuje spokój. Niemcy nie następują. Ale w poniedziałek rano, gdy oddział rusza w dalszą drogę, okazuje się, że Niemcy otoczyli go ze wszystkich stron. Następują całodzienne próby przebicia się z okrążenia. „Sęp" wielokrotnie bierze udział w walce na czele powierzonej mu piechoty. Wreszcie, późną nocą, w gajówce ukrytej w głębi lasów suchedniowskich zapada ostateczna decyzja: Hubal przebędzie szarżą szosę Samsonów — Odrowąż, piechota zaś przejdzie grupkami przez najgęstsze lasy wśród formacji niemieckich. Zbiórka całego oddziału — w Górach Świętokrzyskich.

• • •

Oddział konny wyrusza z gajówki w kierunku zachodnim. Przez pewien czas piechota postępuje tuż za konnicą, ale wkrótce kontakt urywa się. „Sęp" pozostaje sam ze swoimi piechurami. I znowu jest ich około siedemdziesięciu. Plutony ostrożnie posuwają się przez spowity nocą las. Wysłani naprzód szperacze na razie nie przynoszą meldunków o nieprzyjacielu. W pewnym momencie z daleka dochodzą odgłosy krótkiej strzelaniny. Po chwili znowu zapada cisza. Orientują się, że majorowi udało się przekroczyć szosę.

Piechota próbuje wydostać się teraz z okrążenia w kierunku południowym. Ale wkrótce wiedzą już, że na południe nie przejdą. Świt zastaje ich przyczajonych w kępie drzew, wśród błot. W tę kępę zapadli na cały dzień. Wieczorem usiłują przebić się w jeszcze innym miejscu. Znowu dookoła słychać Niemców. Mogliby przeczekać kilka dni w głębi lasów — nieprzyjaciel porusza się tylko leśnymi duktami, w gęstwinę boi się zapuszczać — ale brak żywności każe piechurom szukać natychmiastowego wyjścia z obławy. Wreszcie nocą znajdują jakąś wieś, jakieś przejście wolne od Niemców. „Sęp" przemyka się przodem z plutonem Kisielewskiego. Pluton jest już prawie poza wsią, gdy nagle któremuś z żołnierzy wypala przypadkowo rkm. Natychmiast dookoła rozlegają się niemieckie wystrzały. Żołnierze Kisielewskiego rzucają się do przodu, drugi pluton, zdetonowany strzelaniną, zawraca, kryje się w lesie. Już go więcej nie zobaczą...

Kisielewski jest poza głównym pierścieniem okrążenia. Ale wokoło nadal pełno Niemców. Ludzie dochodzą do wniosku, że rozbicie się na niewielkie grupki jest jednak pewniejsze. Trzydziestoosobowy pluton zaczyna szybko topnieć. Odłączają się po dwóch, po trzech, znikają w leśnym gąszczu. Wreszcie „Sęp" ma ze sobą już tylko czterech żołnierzy. Idą z nim plutonowy Antoni Kisielewski, strzelec Konrad Matynia, Kazimierz Turlik i szesnastoletni chłopak, który niedawno dołączył do oddziału — Antoni Krupa. Około południa dochodzą do gajówki położonej w pobliżu leśniczówki „Piekło". Dają o sobie znać i zaraz zaszywają się znowu w lesie. Żona gajowego przynosi im trochę pożywienia. Po południu Turlik i Krupa postanawiają iść do leśniczówki i zdobyć ubrania cywilne. Tam natykają się na patrol niemiecki, zostają schwytani. Wkrótce wiadomość o tym dociera do „Sępa" i jego towarzyszy. Mają obydwu chłopaków za straconych. I tak jest istotnie.

• • •

Zostało więc już ich tylko trzech. Uniknęli obławy, ale — rzecz dziwna — pomimo ustalenia miejsca zbiórki w Górach Świętokrzyskich, szli na północ. W tym samym kierunku — jak się później okazało — dążył i sam Hubal na czele konnych. Wszystkich— stwierdza po latach Szymański — ciągnęło w lasy spalskie na stare kwatery. Coś nakazywało im zlekceważyć otrzymany i wydany rozkaz, utwierdzało w przekonaniu, że nie w górach, ale właśnie w dolinie Pilicy muszą się spotkać. Owe „coś" to była tęsknota za czasami, gdy wiodło im się dobrze.

Przez kilka dni przedzierają się lasami, od czasu do czasu tylko zaglądając do siedzib ludzkich. Są potwornie zmęczeni. Gdzieś na północ od Końskich „Sęp" wpada przypadkiem do rowu pełnego wody. Kiedy po wysuszeniu odzieży próbuje włożyć buty, okazuje się to nie do wykonania. Stopy opuchnięte, pełne pęcherzy, nie mogą przejść przez cholewy. Dalszy marsz jest niemożliwy. Kisielewski z Matynią idą dalej, „Sęp" zawraca do Końskich, do domu. Po krótkim odpoczynku ciągnie znowu na północ. Dojeżdża do Opoczna i tam przez kilka dni ukrywa się u znajomych nauczycielek. Ale dłuższy pobyt w rejonie pełnym wojska i policji, węszącej za rozsypanymi po okolicy Hubalczykami, jest zbyt niebezpieczny. „Sęp" woli więc zniknąć na pewien czas w jakimś większym zbiorowisku ludzkim. W Warszawie ma pełno znajomych z okresu pobytu w podchorążówce. Jedzie więc do Warszawy.

W stolicy łatwo zgubić się Niemcom, nietrudno za to odnaleźć — Polakom. Wkrótce Szymański spotyka się z kapralem „Zemstą" z oddziału konnego i od niego dowiaduje się o wypadkach pod Anielinem. Jest to okres, gdy większość pozostałych przy życiu kawalerzystów ukrywa się w Rzeczycy u sołtysa Wojakowskiego. Stamtąd robią częste wypady do Warszawy, szukają kontaktów z konspiracją, rozglądają się za nowym dowódcą. Nadal aktywnie działa leśniczy Wróblewski z Dęby. I on pojawia się któregoś dnia w Warszawie. Wróblewski wspomina o rotmistrzu Tarnowskim, który mieszka w stolicy, a o którym Hubal miał się kiedyś wyrażać bardzo pozytywnie jako o pewnym i pełnym zalet dowódcy. I teraz przypominają sobie, że istotnie major oświadczył pewnego razu: „Gdybym zginął, szukajcie Tarnowskiego". Tarnowskiego udaje się odszukać, ale rotmistrz nie ma zamiaru stawać na czele oddziału. Proponuje natomiast Hubalczykom związać się z podziemną organizacją o nazwie „Kapitanat Muszkieterów". Ma to być organizacja wywiadowcza, posiadająca bezpośrednią łączność z Londynem. Zahartowany w działaniach partyzanckich oddział konny stanowiłby ochronę ruchomej radiostacji, ukrytej w lasach podwarszawskich. Z tą wiadomością przyjeżdża „Sęp" do Rzeczycy.

Podchorąży Lech wywiedział się tymczasem o innym rotmistrzu, byłym dowódcy majora. To młodym ludziom wydaje się wystarczające. Któż może być bardziej godny, by objąć dowództwo oddziału? Rotmistrz ukrywa się w powiecie miechowskim. Wysyłają do niego kurierkę Ludkę Żero. Z początku wszystko idzie dobrze, rotmistrz wyznacza spotkanie z Hubalczykami na

Karnena str 6

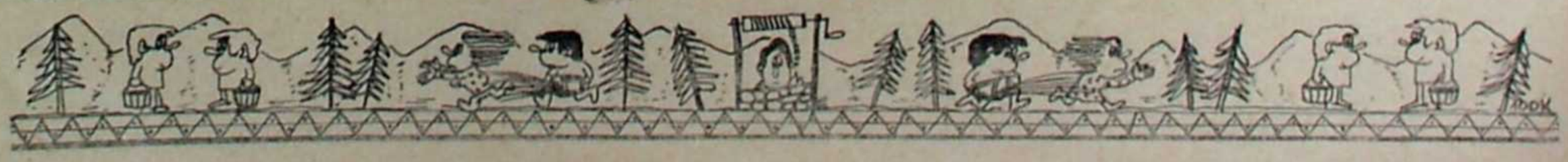

przez luki wrzucam do wnętrza wiązkę granatów. Nigdy nie wyjaśnił, dlaczego te luki w czasie ataku mają być otwarte i wygląda na to, że on sam czołgów nawet w czasie ćwiczeń nigdy nie widział. Drugi jego temat streszczał się w takim stwierdzeniu: jeżeli komukolwiek pomieszą się w głowie i nas zaatakuje, to wyprowadzimy z magazynów mobilizacyjnych taką broń, że mu się na zawsze odechce. Jaka to miała być broń, nigdy nie ujawnił, dodając tylko, że jej obsługiwania nauczymy się w ciągu kilku minut.

Pod koniec kwietnia nasza kompania otrzymała rozkaz przeprowadzenia kilkudniowych ćwiczeń w terenie. Wymagania były duże, niemal cały dzień w marszu, rzadko kiedy zajmowaliśmy pozycje obronne — wciąż atak, atak, pościg... Dopiero pod koniec spostrzegliśmy, że starannie ukrywano przed nami, gdzie jesteśmy. Ćwiczenia odbywały się na polach, chodziliśmy tylko bocznymi drogami i wszystkie drogowskazy były szczelnie zasłonięte. Nocowaliśmy w stodołach, ale na kwatery przychodziliśmy już, gdy zmierzchało, miejscowej ludności nie wolno było z nami rozmawiać. To jak na prawdziwej wojnie w obcym kraju — tłumaczył major Jasiński.

I zapewne nie wiedziałbym do dzisiaj, gdzie się te ćwiczenia odbywały, gdyby nie pewna młoda osóbka w Warszawie. Niemal codziennie pisywałem do niej pocztówki, ale — zgodnie z surowym rozkazem — mogła być mowa tylko o pogodzie lub miłości, nic konkretnego z życia wojskowego.

No, ale zanim to się wyjaśniło zwolniono nas — było to 3 maja. Nie trzeba dodawać, z jaką radością i ulgą wracaliśmy do Warszawy. Z moim najbliższym kolegą Mieciem Wróblem prosto z pociągu poszliśmy do kawiarni Lardellego w Al. Jerozolimskich. Dwóch młodych, tryskających zdrowiem i wspaniale opalonych podchorążych zwróciło uwagę niemal całej piękniejszej połowy sali. Czuliśmy na sobie te spojrzenia i — co tu ukrywać — staraliśmy się odpowiadać uśmiechami na prawo i lewo. No i gdyby nie ta osóbka...

A ta osóbka zaraz na wstępie spytała, co robiłem pod Wilnem i czy wilnianki są ładne.

— Pod Wilnem? — zdziwiłem się. — W życiu tam nie byłem.

— A jednak dostałam pocztówkę od ciebie ze stemplem Wilna. Mało tego. Było u nas dwóch panów, przedstawili się ojcu, że są z wywiadu wojskowego. Pytali o wszystko, co wiem o tobie, prosili o poprzednie listy i pocztówki, co miałam robić — pokazałam.

— No i co właściwie chcieli?

— Nie wiem.

Dokończenie na str. 11

Trudne lata III Rzeczypospolitej

Walka z »Mścicielem«

Władysław Jaworski

Autor poniższego wspomnienia był w czasie okupacji członkiem placówki Batalionów Chłopskich w pow. janowskim. Tuż po wojnie pracował jako funkcjonariusz Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Kraśniku, następnie przeszedł do służby w Ludowym Wojsku Polskim, gdzie pracuje do dzisiaj w stopniu oficerskim.

W MOJEJ osobistej biografii najbardziej utkwił mi w pamięci rok 1945. Wojna jeszcze trwała, młoda władza ludowa dopiero się tworzyła, a my niby na żyłach, a przecież w ogniu zaciętej i, niestety, bratobójczej walki.

Prawie wszystkie posterunki MO w powiecie kraśnickim są wtedy rozbite przez grasujące w tym okresie bandy reakcyjnego podziemia. Nie wszyscy funkcjonariusze MO zginęli — ci, którzy ocaleli, dołączyli do władz powiatowych i walczą nadal. W Komitecie Powiatowym PPR, Pow. Urzędzie Bezpieczeństwa Publ. i Komendzie Powiatowej MO jest nas nie więcej niż stu. Wszyscy stanowimy jedną całość. Partia prowadzi wielką pracę polityczną, my razem z MO staramy się utrzymać porządek i zapewnić ludności bezpieczeństwo. Pracuje się dosłownie dzień i noc, snem pokrzepiamy się w samochodzie, przy biurku, rzadko kiedy w normalny sposób.

Z bandami walczymy przeważnie sami, czasem zwracamy się o pomoc do Lublina. W trudnych chwilach wyjeżdżają z nami na akcję pracownicy Rejonowej Komendy Uzupełnień, niekiedy pod dowództwem swego komendanta Kurowskiego. Wróg, jak może, unika otwartej walki, ale morduje w okrutny sposób pojedynczych członków partii i funkcjonariuszy UB i MO.

Coraz częściej otrzymujemy wiadomości, że bandy usiłują skoncentrować swoje siły i wspólnie uderzyć „na powiat". Dzięki pomocy ludności ustaliliśmy, gdzie część band przebywa, i rozszyfrowaliśmy ich plany. Uderzyliśmy niespodziewanie, rozpędziliśmy bandy, niektóre nawet poza granice powiatu. Niektórzy ujęci w czasie akcji złożyli cenne zeznania, zrehabilitowali się i powrócili do normalnego życia.

Chyba najtrudniejszym do przeżycia momentem był pogrzeb 16 milicjantów zamordowanych jednej nocy w Zakrzówku. Kondukt żałobny zamykała trumienka syna komendanta posterunku. Dziecko po wyjściu ze szkoły przyszło do ojca. Mieszkańcy Zakrzówka przez wybite okna słyszeli dziecinny głos, błagający o życie. Milicjantów, którzy nie mieli się już czym bronić, wystrzelali bowiem całą amunicję, zabijano pojedynczo w jednej sali. Na końcu sam „Orlik" strzałem w twarz kulą dum-dum zabił dziecko...

Innego dnia otrzymujemy meldunek, że we wsi Wolica banda „Mściciela" zamordowała kilku chłopów, m. in. Edmunda Kobylarza i Wojciecha Sajdaka. Sajdak został zamordowany we własnym mieszkaniu w obecności żony i dzieci po odczytaniu „wyroku". Obaj bezpartyjni, biedota wiejska.

„Mściciel" to dawny nauczyciel z tej wsi. Przybył tu na kilka lat przed wojną gdzieś ze Śląska. Kobylarz był jego uczniem, pozostali to ojcowie dzieci, które uczył przed wojną. W czasie okupacji wysługiwał się Niemcom, zabierając ludziom resztki zboża. Obawiając się odpowiedzialności za to, ucieka do lasu i montuje bandę, przybierając dumny pseudonim.

7 maja, w przeddzień zakończenia wojny, wyjeżdżam z Kraśnika w piętnastoosobowej grupie operacyjnej. Jedziemy w okolice Batorza. Na samochód dosiada się mój kolega, 22-letni Władysław Kowalczyk, także funkcjonariusz PUBP. Dostał dwa dni urlopu, więc zabrał rower i potem chce dojechać 12 km do rodzinnych Modliborzyc. Bardzo energiczny w służbie, często rozweselał nas żartami i piosenkami. Nie zważając na nasze perswazje wysiada w Polichnie. Jest wyjątkowo milczący i jak by zadumany.

— Wiesz przecież — odpowiada na moje ponowne nalegania, aby pozostał z nami — że dzwoniła po mnie Kryśka. Nie wypada...

Wiedziałem, że Władek pójdzie na zabawę i że w tej okolicy działa „Mściciel", który zna go osobiście. Ponieważ miał tylko granat, dałem mu swoje „parabellum".

O północy byliśmy z powrotem w Kraśniku. Nie mogłem zasnąć, a w głowie zaświtała mi myśl, aby zorganizować kilku kolegów i pojechać do Modliborzyc. W tej chwili do drzwi zastukał wartownik:

— Wstawaj, Władek zabity!

Piorunem wyjechaliśmy w dziewiętnastu ludzi. W Domu Ludowym pod ławką leżało ciało Władka, zakrzepła krew była rozdeptana po całej sali. Po bandzie ani śladu. Ludzie opowiadają nam o tym, co zaszło.

Orkiestra grała do tańca, ale Władek siedział gdzieś w kącie. W tej chwili wpadli bandyci. Kilku rozbrajało stojących przy wejściu dwóch milicjantów, inni z bronią gotową do strzału biegli w jego kierunku. Wyrwał pistolet, bandyci przykucnęli. Władkowi zadrgała ręka — na sali tłok, każdy z obecnych to znajomy... Ułamek sekundy wystarczył bandycie, aby trafić Władka. Upadł na ławkę, ale — opierając się o ścianę — wydobył granat, zanim jednak zdołał wyciągnąć zawleczkę, granat wypadł mu ze słabnących rąk. Bandyta wyrzucił go za okno, pochwycił leżący na podłodze pistolet, obejrzał się dumnie po sali i pociągnął za spust...

Na rozkaz „Mściciela" konającego wrzucono pod ławkę, a wszystkim obecnym rozkazano tańczyć. Bandyci przyłączyli się do tańca i specjalnie tupali w strugę krwi, która bryzgała po ścianach i nogach. O północy „Mściciel" zgodnie ze swoim zwyczajem zarządził: „do modlitwy w dwuszeregu". Z odkrytymi głowami odśpiewano:

Wielu snem śmierci upadli
co się wczoraj spać pokładli,
my się jeszcze obudzili,
byśmy Cię, Boże, chwalili...

Na podstawie rozmów z ludnością przypuszczamy, że banda jest w otoczonej lasem wsi Bilsko. A więc szybko na miejsce nim wzejdzie słońce. Już widać dym z kominów. Połowa naszej grupy zostaje na miejscu, druga okrąża wieś. Wreszcie pierwsza atakuje. Bandyci zbudzeni ze snu uciekają w bieliźnie, potem organizują obronę. Chłopcy napierają z całej siły, aby zepchnąć ich w stronę przeciwległego lasu, gdzie czeka druga grupa. Jeszcze gwałtowny ogień, kilka skoków do przodu — i udało się.

Zagrały automaty drugiej strony, w znacznie silniejszej liczebnie grupie bandytów następuje zamieszanie, potem całkowite załamanie zorganizowanej obrony. Dochodzi do walki pomiędzy poszczególnymi ludźmi. Zastępca dowódcy bandy, Pikula, kieruje automat na Haina, b. dowódcę małego oddziału AL. Nie zdążył — seria z rkm wali go na ziemię. Nasi dostrzegli „Mściciela". Znów krótka seria — wódz bandy pada i stacza się do wąwozu. Wśród strzelaniny słychać głos Haina: szukać „Mściciela"! Okazało się później, że chociaż ciężko ranny w nogę, zdołał się gdzieś schronić.

Pozostali bandyci w większości porzucili broń i uciekli. Tego dnia banda „Mściciela" przestała istnieć. On sam od tego czasu zniknął. Nie jest wykluczone, że w czasie którejś amnestii ujawnił się...

Spoglądam na zabitych. Pierwszego, blondyna około 25 lat, nie znam. Drugi ma czarne, krótko ścięte włosy. Oczom własnym nie wierzę — Sajewski z Modliborzyc. Średniego wzrostu, krępy, nieco łysy — Pikula z Lutego, podoficer zawodowy armii przedwrześniowej. U innego moje „parabellum", z którego dostało Władka. Chyba los tak chciał. Jest i rower, na który Władek już nigdy nie siądzie.

Władka postanowiono pochować na miejscowym cmentarzu. Jeden z miejscowych ostrzega mnie: nie przyjeżdżaj na pogrzeb, oni po morderstwie powiedzieli, że przyjdą na cmentarz, bo chcą wyłapać jego towarzyszy.

Jednak na pogrzeb przybyło nas kilku, a także dwie maszynistki z Urzędu Bezpieczeństwa, które przygotowały wieńce i szarfy. Oddaliśmy salwę honorową. Ludzi niewielu — najbliższa rodzina i kilku miejscowych śmiałków. W miasteczku tego dnia było wyjątkowo cicho. Zapowiadani „goście" nie przybyli — tego dnia nie wiedzieliśmy jeszcze, że banda już nie istnieje. Z zasłoniętych firankami okien wyglądały czasem wystraszone jeszcze twarze...

Podczas ostatniego Święta Zmarłych byłem, jak co roku, na cmentarzu w Modliborzycach. Odwiedziłem groby kolegów, aby raz jeszcze przypomnieć sobie lata wspólnej walki. Przy jednym z nowych, pięknych pomników przykląkł mężczyzna w średnim wieku. Mgliście przypominam sobie jego twarz. Mój towarzysz mówi jego nazwisko — rzeczywiście, on był w bandzie „Mściciela". Podobno zdobył wykształcenie, ma korzystną pracę, jest dobrym ojcem i mężem. Jeden z tych, dla których Polska Ludowa okazała się tak wspaniałomyślna...

Raz jeszcze sięgam pamięcią wstecz i przypominają mi się ludzie, którzy samorzutnie współdziałali z nami, a nawet — jak aptekarz Czerwiński czy Bogdan Strażyński — walczyli razem z nami. Byli tacy, którzy demaskowali przed nami przywódców band, przenosili nastroje panujące w poszczególnych grupach, informowali o rozbieżnościach pomiędzy dowódcami a szeregowymi członkami band. Ludzie mieli już dość nie tylko wojny, ale i powojennego terroru, grabieży, prześladowań. Chcieli pracować i żyć spokojnie. Wielu obałamuconych, klasowo bliskich nam ludzi coraz częściej zadawało sobie pytania: z kim walczymy, za co, u czyjego boku? Biedota otrzymywała ziemię, ruszały fabryki, odbudowywały się miasta. Ta właśnie coraz szersza i powszechniejsza pomoc ludności dodawała nam siły, każdego dnia przekonywała raz jeszcze o słuszności naszej sprawy.

Chodzę po cmentarzu i znów staje mi przed oczyma „Mściciel". Może w tej chwili w jakimś końcu naszej pięknej ojczyzny też klęczy na cmentarzu. Jak czułby się tutaj?

Wspominam wreszcie poległych kolegów — ich młodość, pragnienie życia, walkę o lepsze jutro, okoliczności śmierci. Ich skromne groby rozsiane są po całej ziemi kraśnickiej. Zostali na polu walki.

Kielecczyźnie, w okolicach Kluczewska. Następują przygotowania do wymarszu. „Sęp" zaś wyrusza do Warszawy, aby powiadomić „Kapitanat Muszkieterów", że oddział nie przystaje na współpracę. Potem w Radoszycach dopędza pluton ppor. „Bema" i już razem przychodzą na miejsce zbiórki. Potencjalny dowódca przybywa, ale z kolejnym rozkazem ZWZ bezwarunkowego rozwiązania oddziału. Czterdziestu dwóch Hubalczyków po raz ostatni staje do apelu. Jest 25 czerwca. Trzy dni temu Francja podpisała zawieszenie broni. Francja, na której spodziewanym zwycięstwie opierali przez dziewięć miesięcy sensowność swoich poczynań...

* * *

Oddział Wydzielony Wojska Polskiego majora Hubala definitywnie przestał istnieć. Jego ludzie przechodzą do roboty podziemnej w szeregach ZWZ. Zamelinowali się we wsiach, małych miasteczkach, w majątkach ziemskich. „Sęp" trafił do kuzynów kolegi ze szkoły podchorążych Władka Jaroszewskiego, do majątku Karolin pod Warszawą. Tam, po rocznej przerwie, hubalowy kawalerzysta i piechur wraca do wyuczonej specjalności — saperstwa. Miejscowa komórka ZWZ poleca mu wyznaczenie przepraw przez Wisłę w rejonie Góry Kalwarii. Poza tym wraz z Jaroszewskim mają dokonywać obserwacji wojskowych jednostek niemieckich w tym rejonie.

Praca jest dość łatwa, ale dla zaprawionego w leśnych bojach i pochodach podporucznika piekielnie nudna. Dopiero przyjazd do Karolina, wiosną 1941 r., wachmistrza Rodziewicza przynosi odmianę. Rodziewicz przywozi wieści, że w Warszawie organizuje się ekipa wojskowego wywiadu ZWZ. Pyta, czy Szymański nie zechciałby wejść w szeregi wywiadu. „Sęp" zgadza się natychmiast.

Poza „Sępem" i Rodziewiczem w wywiadzie są i inni Hubalczycy. Przechodzą szkolenie także wachmistrz Alicki, podchorąży Lech i podporucznik Bem. Ten ostatni wkrótce znajduje możliwość przedarcia się do Syrii i na zawsze opuszcza kraj). Jest i Władek Jaroszewski z Karolina. Wreszcie największa niespodzianka: do grupy wywiadowców dołącza Włodek Stysio, z którym od lubelskich czasów „Sęp" nie miał kontaktu.

W końcu lipca 1941 r. ekipa wywiadowcza wyrusza pod dowództwem szefa Oddziału Północ, kapitana Tomasza Zana, do Wilna. Następuje podział czynności: Rodziewicz idzie na placówkę do Mołodeczna, Alicki zostaje kurierem, „Sęp" i Jaroszewski są szyfrantami ośrodka w Wilnie.

Prawie przez cały rok pracują „spokojnie". Dopiero w lipcu lub sierpniu 1942 r. następuje na Odcinku Północnym — wielka wsypa. „Sęp" wprawdzie unika aresztowania, ale musi wraz z innymi ocalałymi kolegami zniknąć z zagrożonego terenu. Jedzie okrężną drogą przez Lidę i Brześć do Warszawy, wioząc meldunki i materiały zebrane przez wywiad w ciągu ostatniej dekady.

W Wilnie następuje całkowita wymiana pracowników wywiadu. Nie dziwi się więc zbytnio Szymański, gdy wkrótce spotyka w stolicy swojego wileńskiego szefa, kapitana Zana. Ten, w połowie września, kieruje go na nową „interesującą robotę" w tworzących się właśnie oddziałach dywersyjnych Komendy Głównej AK, pod dowództwem (wówczas) majora dyplomowanego Wojciecha Kiwerskiego. Szczególnie ceni się w tych oddziałach saperów. Bez przeszkód przeto wchodzi Szymański w szeregi grupy „Sęka". Tutaj następuje kolejne spotkanie z Włodkiem Stysią, który działał w wywiadzie na Odcinku Południowym. W tej samej grupie jest także brat Włodka, Klaudiusz Stysio z Lublina. Okres pobytu w grupie „Sęka" wiąże się z licznymi znanymi akcjami, przeprowadzonymi w 1942 r. przez oddziały dywersyjne. Bierze więc „Sęp" udział m. in. w odbiciu więźniów pod Celestynowem, w akcji „Góral" na ul. Senatorskiej w Warszawie, w wysadzeniu mostu pod Łukowem i likwidacji strażnic niemieckich nad Bugiem.

W grudniu 1942 r. mjr Kiwerski opuszcza oddziały dywersyjne, zostaje dowódcą Okręgu Wołyńskiego, a następnie dowódcą 27 Dywizji AK. Wówczas wielu z jego podkomendnych, wśród nich także „Sęp", który tęskni do partyzantki, wyraża chęć przejścia na Wołyń.

Pewnego lutowego dnia 1944 r. wyjeżdżają z Warszawy trzy ciężarówki. Przodem sunie ogromny Lanz-Bulldog, za nim dwie lżejsze maszyny. Pod budami stłoczyło się siedemdziesięciu młodych ludzi. W szoferkach i przy tylnych burtach skrzyń ciężarówek — „konwojenci" w niemieckich mundurach. Jadą w kierunku Lublina, bocznymi szosami, przez Michów. Postanowili ominąć Lublin i kierować się w stronę Bugu przez Łęczną. Jednak po drodze dowiadują się, że w Łęcznej partyzanci wysadzili most na Wieprzu. Trzeba więc decydować się na rozgrywkę va banque. Ruszają od Lubartowa prosto na Lublin. Tutaj, na rogatce Lubartowskiej, kolejny dylemat: kręcić się plątaniną wąskich bocznych uliczek czy...? Przed nimi wygodna droga przecinająca w poprzek miasto. Wwalają się na pełnym gazie w ulicę Lubartowską. Jezdnia jest śliska, oblodzona. Od rzeki Czechówki rozpędzone ciężarówki jadą pod górę prawie zakosami. Wtem z bocznej uliczki wypada prawie pod koła Lanz-Bulldoga łazik z żandarmami. Nagle szarpnięcie, zgrzyt hamulców. Z łazika bluzga potok przekleństw. Chwila ciszy i nagle... „konwojenci" odzyskują mowę. W Warszawie wybierano tylko takich, którzy znali język niemiecki. I w tej chwili egzamin z niemieckiego zdają na celująco. Żandarmi zostają dosłownie przygwożdżeni stekiem najohydniejszych szoferskich wyzwisk, wykrzykiwanych czystą niemczyzną... I tak konflikt zostaje zażegnany. Ciężarówki dodają gazu, wpadają na Plac Łokietka, dołączają do jakiegoś niemieckiego samochodu wjeżdżającego akurat na ulicą Królewską. Samochód skręca następnie w Fabryczną. To im tylko na rękę. Wyglądają na transport jadący na Majdanek.

Za Lublinem nie mają już żadnych przygód. Spokojnie mijają Chełm i niezaczepiani przez nikogo dojeżdżają do Pobołowic, gdzie grupa wyładowuje się. W jednej z pobliskich wsi przeprawiają się łódką przez Bug, dochodzą do Bindugi, są już na terenie objętym działaniami dywizji.

Tutaj „Sęp" pozostaje do połowy 1944 r. Jego „Kompania Warszawska" zajmuje się głównie pracami saperskimi. W czerwcu dywizja przeprawia się na lewy brzeg Bugu, staje przez pewien czas w Ostrowie Lubelskim, a następnie kieruje się ku lasom firlejowskim. Wtedy właśnie „Sęp" otrzymuje dawno obiecywane kilka dni urlopu. Jedzie do Warszawy.

* * *

Jest koniec lipca. W powietrzu wisi powstanie. Zanim Szymański zakończył urlop, wybiła „Godzina 0". Z miejsca trafił do batalionu „Czata 49" w zgrupowaniu Radosława. Oprócz niego znalazło się tam około dziesięciu urlopowiczów z dywizji wołyńskiej.

Zaczynał Szymański Powstanie Warszawskie na Woli i tam po raz pierwszy został ranny. Potem walczył na Starówce i tuż przed jej upadkiem, jako ranny, przechodzi kanałami do śródmieścia. W tym samym czasie inny Hubalczyk, podchorąży Dołęga, broni kamienicy na rogu ulic Wiejskiej i Frascatti. Ale „Sęp" nie zabawia długo w śródmieściu. Idzie na Czerniaków i tutaj aż do 22 września bierze udział w walkach. Wielokrotnie rannego zabierają ludzie żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego, wracające na prawy brzeg Wisły. Razem z „Sępem" przeprawia się na drugą stronę siostra porucznika Iljina z oddziału Hubala. W przyszłości zostaną małżeństwem.

Gałki Krzczonowskie, luty 1949 r. Stoją od lewej: plut. Franciszek Głowacz — „Lis", ppor. Zygmunt Morawski — „Bem" i ppor. Marek Szymański — „Sęp". (Zbiory i repr. J. Sekulak)

Na razie jednak życie „Sępa" wisi na włosku. Jest ciężko ranny w nogę, rękę i pierś. Trafia do kościuszkowskiego szpitala polowego. W październiku 1944 r. szpital zostaje ewakuowany do... Lublina. Tutaj aż do lutego 1945 r. Szymański liże się z ran. Takie jest trzecie spotkanie „Sępa" z Lublinem.

W 1966 r. major Hubal został pośmiertnie odznaczony krzyżem Virtuti Militari IV klasy. I wówczas w Warszawskim Oddziale ZBoWiD powstała myśl, aby wzorem Obrońców Westerplatte zorganizować także Klub Hubalczyków. Klub taki powstał 30 kwietnia 1966 r. Po dwudziestu sześciu latach od momentu rozwiązania oddziału do apelu stanęło trzydziestu żołnierzy majora Hubala. Chłopi, robotnicy, kilku urzędników, jedna profesorka muzyki, jeden dziennikarz i jeden dyrektor. Pierwszym prezesem Klubu został Marek Szymański — „Sęp".

Mirosław Derecki

Kamena str. 7

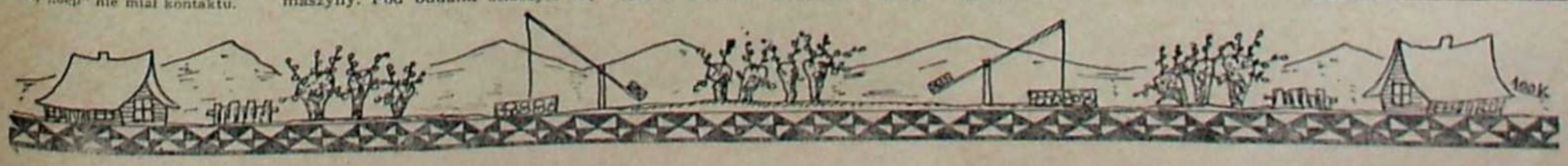

Z piosenką jest nam wesoło

Maria Bechczyc-Rudnicka

TO PO raz piąty już w XXV-leciu wchodzi Bałucki na lubelską scenę dramatyczną.

Najpierw więc w październiku 1944 roku bezchmurna pogoda „Grubych ryb" przyniosła widzowi trochę odprężenia, jakiego szukał w teatrze po okrucieństwach okupacji. W niespełna trzy lata później zaśmiewała się nasza publiczność karnawałowa na „Domu otwartym", zagranym con brio przez „zespół gwiazdorów" Różyckiego. W r. 1964 znowuż, mimo także doborowej obsady, poziewaliśmy sobie dla odmiany podczas spektaklu „Radców pana radcy", ale chyba z winy nieco jałowej koncepcji reżyserskiej, bo przecież nie za sprawą dyskretnego morału komedyjki, zresztą nie pozbawionego aktualności...

I oto obecnie bisuje się „Klub kawalerów", który wystawiono w Lublinie za dyrekcji Maksymiliana Chmielarczyka, przeszło dwadzieścia lat temu. Jest to bez wątpienia niezawodna pozycja (aż dziw, że nie znajdziesz jej w 4-tomowym PIW-owskim wyborze dzieł Michała Bałuckiego!).

Dwadzieścia lat, niemal cała epoka! Nastąpiła, rzec można, zmiana wart za kulisami i na widowni doszlusowały nowe pokolenia przyjaciół teatru, a Bałucki wciąż jeszcze nie „nudzi ludzi". Nie tylko w Lublinie — w całej Polsce najlepsze jego sztuki są deską ratunku dla finansowych rozbitków teatralnych.

Sekret nieśmiertelnej atrakcyjności dramaturgii Bałuckiego leży, jak wiadomo, w tym, że komedie jego są łatwe w percepcji jak początek tabliczki mnożenia i że biją rekord niefrasobliwości, do której podświadomie tęsknią ludziska zwłaszcza w czasach patetycznych.

Jakoś i grymaśni teatromani przestali ostatnio wybrzydzać na te sentymentalne staroświeckie obrazki. Wydaje się nawet, iż przyszła na nie moda niczym na samowary i lampy naftowe.

Ze zrozumiałych względów reżyserzy i inscenizatorzy chętnie kultywują modę na „myszkę" teatralną. Lamus repertuarowy jest przecie istną kopalnią złota. Dosłownie oraz figuralnie — w sensie złotych myśli. Otóż i „Klub kawalerów", który nas dzisiaj nader mile bawi, nie nadawałby się do wystawienia po prostu jak go autor stworzył. W odróżnieniu od wielu naciąganych „adaptacji", doczepiających wszelkie prologi, epilogi i mdłe intermedia do wiecznie młodych arcydzieł literatury światowej, w wypadku krotochwilnej sztuczki Bałuckiego najzupełniej celowe jest potraktowanie wyblakłego tekstu XIX-wiecznego jako scenariusza, który należy mocno ubarwić, ba — bez żenady karykaturalnie przejaskrawić, dodając nowoczesnej pikanterii.

Tak też uczynił Jerzy Wróblewski, utalentowany reżyser, młody, lecz mający już za sobą kilka ciekawych inscenizacji krakowskich, w Lublinie zaś m. in. udatne widowisko „Wiatr w gałęziach Sassafrasu".

Sztuki Bałuckiego obfitują w ciekawe postacie charakterystyczne dla fin de siècle'u, te typy i typki należały do najlepszych kreacji Mieczysława Frenkla, Wincentego Rapackiego i innych znakomitości. Sam Solski wyuczył się roli Ciaputkiewicza z „Grubych ryb" na 75-lecie swej pracy artystycznej. Oczywiście również i dziś „Klub kawalerów" wymaga obsady przynajmniej niezłej, ale przede wszystkim wymaga on reżysera z bogatą inwencją. Temu warunkowi Jerzy Wróblewski odpowiada w pełni. Wprawdzie pomysł przydania „Klubowi kawalerów" muzyki Lawiny-Świętochowskiego, autora wielu popularnych piosenek i kilku operetek (np. „Panny wodnej") — ten pomysł zasadniczy powstał podobno jeszcze w r. 1945 w teatrze bydgoskim, nie umniejsza jednak ten fakt zasługi J. Wróblewskiego, który, wykorzystując tę samą muzykę, ujął zarazem całość w koncepcję reżyserską zupełnie odmienną choćby od realizowanej u nas w r. 1947 przez Czesława Strzeleckiego.

Michał Bałucki „Klub kawalerów". Elżbieta Święcicka (Mirska), Barbara Martynowicz (Jadwiga Ochotnicka) i Barbara Grabowska (Marynia).

Foto W. Parys

Spektakl Wróblewskiego grawituje wyraźnie w kierunku kabaretu. Toteż wydaje mi się, iż słuszniej byłoby określić w programie ten „Klub kawalerów" jako widowisko muzyczne. Termin „komedia muzyczna" pozwala spodziewać się muzyki bardziej „esencjonalnej" niż niewymyślne piosenki, którymi uprzyjemnił „Klub" kompozytor. Mniejsza zresztą o definicje teoretyczne, skoro komediokabaret fin de siècle udał się Wróblewskiemu na schwał. Wesołe to, nastrojowe i zabawne. Tak pozytywny rezultat zawdzięcza się też w ogromnej mierze wyjątkowo harmonijnej współpracy twórczej reżysera ze scenografem i choreografem. W czasie całego trwania spektaklu wyczuwamy, że dogadali się oni do najdrobniejszych szczegółów.

W dekoracjach Jadwigi Pożakowskiej układ elementów autentycznych jest nacechowany nowoczesnym dowcipem. Gdy frymuśna kurtynka, ukształtowana na wzór przymarszczonych poziomo stor, odsłania krakowski lokal w I akcie, doceniamy z miejsca trafność przeładowania przestrzeni scenicznej wszelakimi akcesoriami restauracyjnymi, a nade wszystko wprowadzenia sutych kotar pluszowych, za którymi mieszczą się domniemane „gabinety". Kostiumy Pożakowskiej są „oczu oczarowaniem". Kokardki, wstążeczki, riuszki, te zwiewne falbanki do ziemi (w stylu „chociaż troszkę pokaż pończoszkę!") — może niejedna nosicielka mini na widowni westchnęła do nich ukradkiem.

Nieskazitelny rytm nadają przedstawieniu ewolucje taneczne Barbary Fijewskiej, wzbogacające szczególnie akt I. Przezabawna jest scena kelnerów z bufetową. Henryk Sobiechart, Franciszek Brodziak i Halina

Dokończenie na str. 11

POWTÓRKA Z POLSKIEGO
ROMANTYZM

Urszula Kowalska

TERMIN ten (romantyczny, romans, romance) pojawił się jeszcze w średniowieczu na oznaczenie utworu napisanego w języku romańskim a więc ludowym w stosunku do łaciny. W wieku XVIII zaczęto go używać jako określenia dla pewnego typu krajobrazu, który zachował pozory naturalnej dzikości i malowniczości. Określano nim ogrody pełne niespodzianek i pozornie bezładne z grotami, strumykami, skałami, bujnie i malowniczo rosnącą roślinnością. Ogrody te, zwane często angielskimi, stanowiły przeciwieństwo strzyżonych i symetrycznych parków francuskich.

Pod koniec wieku XVIII pojęcie romantyczności zostało przyswojone przez teoretyków niemieckich literaturze (pisali o tym wśród J. Kleiner i Z. Łempicki) i zaczęło służyć określeniu nowego prądu w sztuce — głównie w literaturze. Jeden z głównych teoretyków „nowej poezji" — Schiller — przeciwstawił poezję „naturalną" typu greckiego i rzymskiego, opartą o zasady mimetyzmu, naśladowania rzeczywistości wynikającej z poczucia więzi człowieka z naturą, poezji sentymentalnej. Uznał on, iż człowiek oddalił się od natury, przestał być jej częścią, co spowodowało rozdźwięk między nim i światem. Dlatego poeta może wyrażać już tylko swoje odczucia i refleksje, może marzyć o powrocie do owego idealnego ładu. Wyrażając swój stosunek do świata, tworzy on poezję sentymentalną czyli romantyczną.

Romantyzm jako prąd kulturalny łączy się z określonym systemem światopoglądowym opartym o przesłanki irracjonalne, idealistyczne, które wpłynęły na kształtowanie się romantycznej postawy wobec świata, postawy odmiennej od tej, jaką znamy na przykład z Oświecenia. Romantycy są ludźmi skierowanymi ku przyszłości lub przeszłości, negującymi świat, w którym żyją, zaprzeczającymi pierwszeństwo rozumu przed uczuciem i rozmiłowanymi w atmosferze tajemniczości i grozy.

Niezadowolenie z rzeczywistości, z warunków społecznych, z kultury europejskiej było wyrazem buntu przeciw stosunkom społeczno-politycznym ówczesnej Europy oraz wzrostowi znaczenia mieszczaństwa. Prekursorem tej postawy był m. in. J. J. Rousseau, na którego romantycy powoływali się chętnie, czego przykładem jest IV cz. „Dziadów", gdzie Gustaw-Pustelnik mówi o „książkach zbójeckich", które nauczyły go ucieczki od rzeczywistości w świat marzeń. Motyw ten pojawia się w poezji romantycznej często i należy do najchętniej przywoływanych tematów w twórczości wielkich romantyków europejskich. Konflikt romantycznej jednostki wyjątkowej ze światem, tak charakterystyczny dla postawy romantycznej, posłużył J. Kleinerowi jako wyróżnik dla dwu typów romantyzmu: rewolucyjnego i reakcyjnego. Romantyzm rewolucyjny propagował zniszczenie starych form społecznych, walkę o wolność wszystkich uciemiężonych narodów i wiarę w przyszłość, która zrealizuje wszystkie szlachetne dążenia współczesności. To samo niezadowolenie z rzeczywistości kazało romantykom reakcyjnym uciekać w daleką przeszłość i szukać w niej wzoru dla wyobrażenia o świecie idealnym.

Niezdolność przystosowania się do rzeczywistości rządzonej racjonalnymi prawami, konwenansami społecznymi, do świata zhierarchizowanego przez pochodzenie i konto bankowe, wyzwoliła romantyczny bunt skierowany przeciw klasom posiadającym. Romantyczny kochanek — Gustaw z IV cz. „Dziadów" — mówi ze sztyletem w ręku: *błyskotkę niosę dla jasnych panów, ot — tym toisa utoczę na ślubne toasty!* Ten sam protest znalazł swoje uzewnętrznienie w propagowaniu ludowości, w nawiązywaniu nie tylko do zewnętrznej formy utworów gminnych, ale również w przejęciu ludowego kodeksu etycznego, ludowych wyobrażeń o sprawiedliwości.

Oprócz ludowości takiej, jaką znamy z romantycznych ballad, z dramatu i powieści poetyckiej, zaznacza się w tym okresie dążność do ocalenia twórczości ludowej w jej formie oryginalnej. W całej Europie zbiera się więc i zapisuje ballady, pieśni epickie i obrzędowe oraz inne formy tej twórczości. Romantyzm odkrywa piękno pieśni bohaterskich Serbów, przyrównując je do twórczości Homera i nobilituje całą twórczość ludową. W romantyzmie działał O. Kolberg, który wędrując po Polsce utrwalił teksty i nuty naszej twórczości ludowej i wydał je w kilkunastotomowym dziele, stanowiącym najpiękniejszy jego pomnik.

O wartościach autentycznej literatury ludowej pisali twórcy i teoretycy tej miary co Herder, Geothe Schelling; dał temu również wyraz A. Mickiewicz w swoim „Kursie literatur słowiańskich".

Romantyzm nie traktował ludowości jako literackiej ornamentacji ani sposobu stylizacji. Jeśli nawet istnieje ona tu i ówdzie w tej formie (np. młodzieńcze dumki ukraińskie J. Słowackiego), to w przeważającej mierze spotykamy się z nią jako ze sposobem widzenia i interpretacji świata. Wyraża się to przede wszystkim w dążeniu do sprawiedliwości absolutnej, która nie mogąc się zrealizować w świecie rzeczywistym, spełnia się przez ingerencję świata nadzmysłowego. Widać to w II cz. „Dziadów" Mickiewicza, w jego „Świteziance", „Rybce" i innych balladach; daje się to zauważyć w baśniowej „Balladynie" Słowackiego.

Nawiązanie do twórczości ludowej, oprócz nowej problematyki, przyniosło nowe gatunki literackie oraz zdemokratyzowało dotychczasowe słownictwo poetyckie, wprowadzając wiele wyrażeń gwarowych oraz właściwą poezji ludowej metaforykę. Czerpanie z tych źródeł spowodowało ponadto duże nasycenie wiersza elementami muzycznymi i malarskimi.

W literaturze tego okresu ujawnia się również orientalizm: zafascynowanie Wschodem — jego egzotyką i tajemniczością. Zainteresowanie tą problematyką przyszło do Polski głównie z Anglii, z twórczości Byrona. Widać to w „Farysie" Mickiewicza, najpełniej zaś w młodzieńczej twórczości J. Słowackiego, który umieszcza akcję wielu swoich powieści poetyckich właśnie na Wschodzie i w Arabii, ukrywając pod strojem Beduina czy Turka typowego bohatera romantycznego z jego konfliktami, samotnością i niezgodą na rzeczywistość.

Światopogląd romantyczny, oparty o przesłanki pozaracjonalne, wypływające z przekonania, że nie rozum lecz uczucie jest najważniejszym momentem w procesie poznawania świata, narzucił romantyzmowi określoną estetykę — sposób artystycznego przedstawiania tej problematyki w sztuce. To, co jest widoczne już na pierwszy rzut oka, to współistnienie dwu światów: rzeczywistego i nadzmysłowego i wzajemne ich zależności. Czynniki nadprzyrodzone wpływają bezpośrednio na ludzkie działania, co widać w „Fauście", „Dziadach", „Nieboskiej komedii" i wielu innych utworach tego okresu. Przez tego rodzaju zabieg konstrukcyjny romantycy wyrażali swoją potrzebę religijności, odmiennej od jakiegoś określonego systemu wierzeń.

Ponadto widać wyraźną tendencję do zacierania granic między rodzajami i gatunkami literackimi, do łączenia elementów epiki, liryki i dramatu w jednym utworze. Cechy te skupiają najbardziej charakterystyczne gatunki tego okresu, takie jak: ballada, powieść poetycka i dramat nawiązujący do tradycji Szekspira, Calderona, średniowiecznego misterium religijnego oraz do poetyki opery. Owo pomieszanie gatunków dokonywało się nie według jednej zasady, lecz było określane inwencją poety i jego zamierzeniami artystycznymi. W „Konradzie Wallenrodzie" na przykład mamy wtrącone: pieśń o Wilji, balladę Konrada o Maurach oraz pieśń Wajdeloty o znaczeniu poezji ludowej. Utwory te, wzbogacające omawianą powieść poetycką, mogą istnieć zupełnie samodzielnie. Zjawisko to powtarza się często w praktyce literackiej romantyzmu.

Cechą charakterystyczną dla utworów tej epoki jest ponadto budowa fragmentaryczna, pozwalająca na stworzenie nastroju tajemniczości a czasem grozy oraz zupełnie inne niż dotychczas konstruowanie czasu akcji. Oświecenie ukazywało przeważnie chronologiczny ciąg wydarzeń tłumaczący je do końca i komentowany przez narratora czy autora. Romantyczna powieść poetycka, dramat czy poemat dygresyjny zakłócają ciągłość czasową akcji utworu stosując częste przeskoki i powroty do odległej przeszłości, która ma znaczenie dla losów bohatera.

Świat przedstawiony utworów romantycznych nie przypomina w niczym świata rzeczywistości; rządzi się swoimi prawami, które uznają fantastykę, baśniowość i irracjonalność. Wszystkie te momenty nie przeszkodziły literaturze romantyzmu w jej ogromnym zaangażowaniu i społecznej roli, jaką jej przyszło odegrać. Szczególnie nasza literatura romantyczna stała się synonimem najpiękniejszych dążeń narodowych i społecznych wszystkich Polaków, ale o tym następnym razem.

Ilu językami każdy z nas włada?

PRAWDOPODOBNIE większość Czytelników odpowie bez namysłu na to pytanie: „Co najmniej jednym, swoim własnym, polskim, a poza tym tylu językami obcymi, ile tak dobrze opanował, że może się nimi swobodnie posługiwać". Nie będzie to jednak odpowiedź zupełnie dokładna. Jeżeli bowiem nawet nie brać pod uwagę tego, że np. ktoś zamieszkały w Białostockiem mówi nieco inaczej (z innym akcentem, jak się to popularnie określa) niż mieszkaniec Lublina, ten zaś znowu inaczej niż rzeszowianin — to trzeba się zastanowić nad tym, czy każdy z nas zawsze się tak samo wyraża. Wyjaśnijmy to na przykładach!

Gdy kupujemy bilet autobusowy w kiosku „Ruchu", mówimy zwykle krótko? „Proszę normalny (z ewentualnym dodatkiem: „autobusowy", „trolejbusowy"). Gdybyśmy chcieli wyrazić to samo na piśmie, wypowiedź musiałaby być obszerniejsza i brzmiałaby mniej więcej tak: „Proszę o normalny bilet (autobusowy, tramwajowy)". Gdy niedawno szalała u nas epidemia grypy, która wzięła początek w dalekim Hongkongu, można było nieraz usłyszeć taką rozmówkę: „Jak u ciebie z Hongkongiem?" — „Już po". Chcąc napisać o tym samym, trzeba by użyć znacznie więcej wyrazów i powiązać je w zdania. Gdy spotykamy w autobusie albo na ulicy znajomego z tranzystorem i chcemy się dowiedzieć, jakiej marki jest odbiornik, wystarczy czasem wymiana dwóch wyrazów? „Koliber?" — „Sylwia"? Wypowiedź pisemna na ten temat byłaby już krótkim opowiadaniem, które by informowało o spotkaniu znajomego z aparatem tranzystorowym, naszym zainteresowaniu marką odbiornika, pytaniu jakie zadaliśmy, aby zaspokoić to zainteresowanie i odpowiedzi, jakiej udzielił nam znajomy.

A zatem inaczej się wyrażamy rozmawiając ze znajomymi, robiąc zakupy czy też załatwiając sprawę w urzędzie, czyli wszędzie tam, gdzie się wypowiadamy ustnie, inaczej zaś w listach, podaniach, referatach, artykułach, a więc we wszelkiego rodzaju wypowiedziach pisemnych. Nie ma, oczywiście, ostrych granic między tymi dwoma rodzajami wypowiedzi. Język przemówienia okolicznościowego, wywiadu (nawet przeprowadzanego „na gorąco"), głosu w dyskusji na zebraniu jest zwykle podobniejszy do wypowiedzi pisemnej niż ustnej. I na odwrót: w literaturze współczesnej szczególnie w dialogach, rozmówcy mówią zwykle językiem bardzo zbliżonym do języka wypowiedzi ustnych. Na ogół jednak, jak wykazały przytoczone wyżej przykłady, różnice między wypowiedziami ustnymi a pisemnymi są wyraźnie wyczuwalne, tak że można mówić jeżeli nie o dwóch różnych językach, to w każdym razie o dwóch odmianach języka: mówionej i pisanej. Pierwszą opanowaliśmy, sami o tym nie wiedząc, w latach wczesnego dzieciństwa, drugiej nauczyła nas szkoła.

„Iż Polacy nie gęsi..."

Na czym polega różnica między językiem mówionym a pisanym (mamy na myśli cały czas język warstw wykształconych)? Wymowa poszczególnych głosek jest w zasadzie taka sama, tyle że mniej staranna. Nie ma też rozbieżności w odmianie. Sporo ich jest w słownictwie (zajmiemy się nimi przy innej sposobności), a najwięcej w składni. Język mówiony jest bardziej swobodny od pisanego, mniej skrępowany jej zasadami, można się w nim wyrażać bardziej skrótowo. Ktoś, kto mówi, nieraz podaje tylko pewne elementy informacji która chce przekazać słuchaczowi, ten zaś uzupełnia je w myśli, by jakoś stworzyć z nich sensowną całość.

Jest to możliwe dzięki kilku środkom pomocniczym, jakimi dysponuje język mówiony. Pierwszy z nich to określona sytuacja, z jaką mamy zazwyczaj do czynienia, gdy np. rozmawiamy, i jaka od razu dużo wyjaśnia. Jeżeli np. rozmowa odbywa się przed kioskiem „Ruchu", i kioskarzowi, i jego klientowi z góry wiadomo, że „Proszę normalny" może znaczyć tylko: „Proszę o normalny bilet", bo trudno odnieść ten przymiotnik do gazet i innych rzeczy sprzedawanych w takim kiosku. Podobnie ma się sprawa w pozostałych przykładach. Wyraz „Hongkong" podczas epidemii grypy kojarzył się przede wszystkim z tą chorobą, zapytany więc od razu odgadywał sens pytania. Równie łatwo też było się domyślić, że „Już po" znaczy: „Już jestem po chorobie". W niektórych przykładach można się było także posłużyć drugim środkiem pomocniczym języka mówionego: gestem, np. ruchem ręki wskazującym bilet czy też odbiornik. Trzecim środkiem pomocniczym języka mówionego jest intonacja. Zależnie od tego bowiem, jak, z jaką intonacją wypowiemy słowa: „Andrzej wyjeżdża", mogą one znaczyć, że wyjeżdża Andrzej, a nie ktoś inny, albo że Andrzej wyjeżdża, a nie pozostaje, albo np. wyrażać żal z powodu wyjazdu Andrzeja.

Język pisany nie dysponuje takimi środkami pomocniczymi, czasem tylko może określić intonację pytajnikiem lub wykrzyknikiem. Musi je więc zastępować zwiększoną liczbą wyrazów i odpowiednią konstrukcją składniową zdań. A zatem przekształcając wypowiedź ustną na pisemną — niejako ją tłumaczymy z języka mówionego na pisany. Opanowanie tej sztuki przekładu jest rzeczą ogromnej wagi dla każdego, kto chce być sprawny językowo. Dlatego też będziemy nieraz wskazywać drogi, które do tego wiodą.

Witold Kochański

Kamena str. 8

ZASŁYSZANE I PODSŁUCHANE

Dokończenie ze str. 1

miny i gdzie w rozpaczach miłosnych miało się topić pewnego roku, w miesiącu czerwcu, w klasie piątej, za wzajemną umową przyjacielską w tej jednakowej niedoli. (...) Chodzili razem spotykać na mieście piękne panny, albowiem i one chodziły razem. Czytywał przyjacielowi swe wiersze na cześć ukochanej.

Od śmierci samobójczej, jedynej drogi wyjścia z beznadziejnej miłości, uchronił chłopców mały zeszycik i w nim zawarte zasady socjalizmu. I tak z dwóch rozpaczających Gustawów zrodziło się nad Bystrzycą dwóch Konradów, oddanych już na zawsze służbie idei.

Teraz zdradzę tajemnicę, kim była ta „cudna panna Kazia" — była to więc Kazimiera Zarańska, najładniejsza podówczas panna w Lublinie, postawna brunetka o śniadej cerze i płomiennych oczach, której rodzice posiadali majątek Bełżyce, lecz bardzo często przebywali w Lublinie. Przyjacielem i towarzyszem niedoli Struga był, według moich informacji, późniejszy znany pisarz Tadeusz Ulanowski, a panna Aniela — tu, niestety, pamięć mnie zawiodła, a wiedziałem, wiedziałem dokładnie — dziś nie ma już sposobu zapełnić pustego miejsca pamięci.

Skąd wiem to wszystko? Otóż panna Zarańska w swoim, od naszych dość odległym czasie, poślubiła młodego prawnika Stanisława Bielskiego, który był rodzonym bratem mego ojca.

Płomienna miłość młodocianego i bardzo przystojnego gimnazjalisty schlebiała pięknej pannie, lecz o jakichkolwiek krokach, zmierzających do realizacji uczuć, lub nawet pewnego zbliżenia — w tamtych czasach nie mogło być nawet mowy. Skończyło się wszystko na wymianie spojrzeń, westchnieniach, wierszykach i kwiatach. Zresztą kto wtedy mógł przewidzieć, że z Tadzia Gałeckiego wyrośnie kiedyś Andrzej Strug?

Toteż gdy się nadarzyła odpowiednia partia, cudna Kazia wyszła za mąż. Gwoli ścisłości muszę stwierdzić, że mój stryj był mężczyzną bardzo urodziwym. W innym typie niż Strug, lecz nie mniej pięknym. Wysoki, postawny, ciemny blondyn o regularnych rysach i sumiastym wąsie — wyglądał jak by żywcem wyszedł ze starych portretów. Opowiadano, że gdy na balach para ta stanęła do mazura, wszyscy przestawali tańczyć, podziwiali i oklaskiwali.

Po wielu, wielu latach, jako rozbitkowie wojenni wróciliśmy z dalekiej Ukrainy. Znalazłem serdeczną gościnę w domu stryjostwa w Chełmie, gdzie stryj pełnił funkcję notariusza. Pani domu bardzo mnie polubiła, a gdy dowiedziała się, że piszę wiersze i znam dobrze naszą współczesną literaturę, obdarzyła mnie zaufaniem i uczyniła pewne zwierzenia.

Zobaczyłem wtedy książkę „Dzieje jednego pocisku", pierwsze wydanie, przechowywaną z pietyzmem, gdzie odpowiednia stronica była założona wyblakłą różową wstążką. Znajdowały się tam jeszcze zasuszone, bardzo stare kwiatki, jakiś bilecik zapisany mało czytelnym pismem, parę kartek wyrwanych ze sztambucha — „I anioł smutku, co wszedł i tylko westchnął" — jak to w znanej piosence Tuwima. No i oczywiście ustny komentarz do tego wszystkiego z detalami i nazwiskami — prawnicy nazywają tą wykładnią autentyczną. Nie wszystko, niestety, zapamiętałem (nie mogę sobie darować tej Anieli), boć przecie od tej rozmowy upłynęło już pięćdziesiąt lat, ale to, co ocalało w pamięci, przekazuję. Tym śmielej, że nikt z tych ludzi nie pozostał przy życiu i że pierwsza miłość Andrzeja Struga to już chyba historia literatury.

Jednego tylko stryjenka nie mogła mu darować: że był socjalistą! Sama duszą i ciałem należała do endecji...

Przerzucam dalej kartki książki Grychowskiego — wiele nazwisk, z których każde tyle mówi. Zatrzymałem się na osobie doktora Gustawa Dolińskiego. Indywidualność bogata. Działalność wszechstronna. Świetny lekarz, wybitny społecznik, nie pozbawiony talentu literackiego. Pisał nie tylko rozprawy w zakresie swej specjalności, lecz także próbował sił w rozlicznych gatunkach literatury. Tworzył wiersze, opowiadania, humoreski — komedie dla teatrów amatorskich, a nawet przetłumaczył „Zmartwychwstanie" Tołstoja. Przychylnie o jego pisarstwie wyrażał się nawet Piotr Chmielowski, a Ochorowicz tak go scharakteryzował, jako człowieka: *dzielne serce, zawsze młode i zawsze gotowe do poświęcenia dla dobra ogólnego.*

O wszystkim tym i o wielu jeszcze innych rzeczach dowiadujemy się z książki Grychowskiego, ale mam zamiar kartki jej uzupełnić, bowiem to dzielne serce biło w piersi człowieka towarzyskiego, wesołego i bardzo dowcipnego. Miał on szczególny talent do tworzenia ad hoc świetnych epigramatów i doskonałych fraszek. Posługiwał się językiem soczystym i jędrnym, ukształtowanym na wielkich wzorach Reja i Kochanowskiego. Doktor Doliński w wolnych chwilach od pracy chętnie uczestniczył w różnych sjestach towarzyskich i imprezach rozrywkowych, bywał w wielu domach, m. in. u kilku członków mojej rodziny. Stąd też żywe były w naszej tradycji o nim wspomnienia i niejedną anegdotę podsłuchałem i zapamiętałem. Kilka z nich przytoczę.

Otóż razu pewnego doktor znalazł się na jakiejś uczcie, w której uczestniczyli przeważnie ziemianie i rozmowa toczyła się wyłącznie w kręgu spraw związanych z rolnictwem, ale to nie była właściwie rozmowa, tylko ciągłe żale i narzekania. Rzecz to przecież znana, że nikt nigdy nie zadowolił rolnika. Każdy z obecnych rozpoczynał swą orację stereotypowym: s i e d z ę na tej Wólce, s i e d z ę na Miłocinie itd., jak by się umówili. Doktor Doliński nie wytrzymał, wstał i przerwał te biadolenia i skargi gromkim toastem:

Ponieważ ma już każdy choć to,
na czym s i e d z i,
Więc pijmy zdrowie tego,
panowie sąsiedzi.

Żył w tym czasie pewien obywatel, który nazywał się del Campo Scipio i był właścicielem pięknego majątku Bychawa. Lubił karty, kobiety, polowania, toteż niedługo przepuścił wszystko. O nim to krążyła fraszka również przypisywana Dolińskiemu:

Dwóch było Scipionów — jedną
mieli sławę:
Jeden zniszczył Kartaginę,
a drugi Bychawę.

A teraz z innej beczki. Pewien człowiek z naszej rodziny, zamieszkały w Kraśniku, miał stanąć przed komisją poborową. Oczywiście czynił on wszelkie starania, aby się od służby w znienawidzonej armii carskiej wykręcić. Pomógł mu w tym dr Doliński, ponieważ posiadał odpowiednie uprawnienia. Zwołał specjalną komisję, która odbyła się w prywatnym mieszkaniu mego wuja, Macieja Czerwińskiego, i tam dokonał obdukcji delikwenta. Przede wszystkim zmierzył objętość klatki piersiowej i stwierdził, że jest za wąska, co według obowiązujących przepisów dyskwalifikowało poborowego.

Ucieszony z diagnozy kandydat na wojaka opuścił podtrzymywane ręką szatki i okazał się obecnym w całej okazałości. Doktor rzucił okiem i rzekł z podziwem: — No ale poza tym wszystko w porządku i widzę, że pan mężczyzną jest na schwał.

Obecny Maciej Czerwiński wtrącił: — Bo oni tam mają w Kraśniku akuszerkę, w której się wszyscy kochają, a i ona nie skąpi im swych wdzięków.

A wtedy dr Doliński natychmiast:

Ach tak, bo gdzie Kraśnik górami
się jeży
Mieszkała akuszerka dla dobra
młodzieży.
I dziwne tam się rzeczy działy
w otoczeniu:
Młodzież szczuplała w piersiach,
a rosła w korzeniu.

Każdy przyzna: jest to fraszka w wybornym gatunku, a jeśli dodać jeszcze, że improwizowana...

Wiele podobnych fraszek słyszałem i niektóre z nich zapamiętałem. Nie przytaczam ich dlatego, że wszystkie były związane z jakimś konkretnym zdarzeniem i sytuacją, toteż straciły na aktualności i musiałbym je obarczać zbyt długim komentarzem.

Takim był dr Doliński i takim się przechował w naszej pamięci — lekarz, pisarz, społecznik, ale człowiek również wesoły, bardzo dowcipny i o wielkim poczuciu humoru.

Zupełnie odmienną indywidualność i o odrębnych całkiem cechach charakteru stanowił niejednokrotnie wymieniany u Grychowskiego adwokat Zdzisław Piasecki. Był on adwokatem i zarazem dziennikarzem, redagował przez wiele lat „Gazetę Lubelską" (1888—1905). Zdawałoby się, że to ciekawe połączenie zawodów szczególnie w tamtych czasach znamionuje człowieka odważnego, o szerokim horyzoncie myślenia i poglądach postępowych. Tymczasem było nieco inaczej.

Zarówno z książki Grychowskiego jak i zasłyszanych przeze mnie opowiadań starych Polaków sylwetka tego redaktora i mecenasa przedstawiała się dość osobliwie.

Nie jestem powołany i przygotowany do wydawania sądów i ocen o długoletniej działalności dziennikarskiej Piaseckiego — trzeba by było w tym celu przewertować szereg roczników „Gazety Lubelskiej" — ale z tego, co czytałem i słyszałem z drugiej ręki, wynika, że był to przedstawiciel tak modnego wówczas pozytywizmu pojętego ciasno i ortodoksyjnie. Może też i dlatego niektóre jego enuncjacje brzmią dziś dla nas wręcz szokująco. No, ale jeśli ich papież Świętochowski zwalczał Zapolską, nie dziwota, że i Piasecki przy każdej okazji na niej psy wieszał. Nie tylko na niej — cała poezja współczesna z Tetmajerem na czele została przez niego ochrzczona mianem „kołowaciny" itp.

Mnie jednak bardziej zainteresował ten człowiek jako adwokat i to w tym czasie, gdy na dobre rozstał się z dziennikarskim piórem. Mnóstwo anegdot o nim słyszałem pikantnych i osobliwych.

Choć nigdy się nie zaliczał do czołówki palestry, lecz w ostatnich latach życia, czy to wskutek choroby, czy też zbyt szybkiego procesu starzenia, dopuszczał się całego szeregu wystąpień, które budziły zrozumiałe zdumienie, a niejednokrotnie zgorszenie. Postaram się niektóre z nich powtórzyć.

Pod zaborem rosyjskim nie było, oczywiście, żadnego samorządu zawodowego, przełożonym adwokatów był prezes sądu, Rosjanin, ale mecenasi Polacy zbierali się co pewien czas w swoim kole dla omówienia ważnych spraw. Na te zebrania Piasecki nigdy nie przychodził. Pewnego razu adwokat Turczynowicz w ten sposób z niego zakpił: — Prosimy bardzo, by kolega zechciał przyjść na nasze najbliższe zebranie, ponieważ w całości poświęcone będzie sprawie wielkiej wagi. Ostatnio ci łapacze tak nas piekielnie wyzyskują, że chcemy ustanowić jakąś jedną taksę za ich usługi, bo inaczej zginiemy.

Na to jedyne zebranie Piasecki stawił się punktualnie i niecierpliwie czekał na omawianie tego tak żywo go obchodzącego punktu, a potem był oburzony nie o to, że go nabrali, lecz o to, że widocznie rozstrzygnęli sprawę już wcześniej bez niego.

Praktykę miał opartą na tych właśnie łapaczach, a sąd zasypywał wnioskami bardzo oryginalnymi i z osobliwym uzasadnieniem, nie mającym nic wspólnego z obowiązującymi przepisami. Sędziowie byli w kłopocie, bo jak to powiedzieć starszemu panu, mecenasowi, redaktorowi, że plecie bez sensu. Później znaleźli sposób i odrzucano te wnioski a limine, powołując się na nie istniejące artykuły — oczywiście podjętych w ten sposób decyzji do protokołu nie wpisywano. Piasecki potem długo szukał tych paragrafów, nie wiedząc, że nie ma ich w żadnym kodeksie.

Czasem jednak zaskakiwał pewną pomysłowością i chwytami, jak to mówią sportowcy, poniżej pasa. Głośna była w swoim czasie sprawa, w której Piasecki odegrał niepodłą choć dość dwuznaczną rolę. Był to taki cywilny proces monstre, który ciągnął się latami i nie można go było skończyć, bo strona pozwana, będąca w posiadaniu spornego obiektu, ustawicznie sprawę gmatwała i przeciągała. Sprzyjało tym machinacjom ówczesne ustawodawstwo, a od terminu do terminu często upływał rok i więcej. Wreszcie prezes sądu postanowił położyć temu kres. Dopełnił wszelkich formalności i wyznaczył termin. Nie było się już do czego przyczepić.

Pozwany obszedł wszystkich adwokatów, proponując bajkowe honoraria tylko za odroczenie sprawy, lecz nikt z rzetelnych prawników nie mógł się tego podjąć. Wtedy zwrócono się do Piaseckiego, on zgodził się i obiecał sprawę załatwić, pod warunkiem, że klient jego nie śmie pokazać się w sądzie, a nawet w mieście w dniu rozprawy.

Wyznaczonego dnia prezes w dobrym humorze otwiera posiedzenie i na początku jak zwykle pyta strony, czy nie mają jakich wniosków. Na to adwokat Piasecki: — Mam.

— Słucham — słucham...

— Otóż według moich informacji, udzielonych mi przez klienta, sędzia referent znajduje się w drugim stopniu pokrewieństwa ze stroną powodową, gdyż ich matki były ciotecznym rodzeństwem. Zgłaszam więc wyłączenie.

Prezes się zerwał z miejsca i prawie krzyknął: — To nieprawda, to zarzut zmyślony i nieprawdziwy.

Piasecki rozkładając ręce: — Nie wiem, nie wiem, tak mnie poinformował klient.

— Gdzież on jest?

— Daleko, wyjechał i zachorował. Stawić się nie może.

I sprawa musiała być odroczona, bowiem według ówczesnych przepisów wniosek o wyłączenie, choćby nawet jaskrawo niesłuszny, musiał być rozpatrywany w innym komplecie i na nowej rozprawie.

Po tym incydencie i szeregu innych adwokaci lubelscy postanowili zainicjować składkę i płacić Piaseckiemu stałą pensję, byle tylko nie stawał w sądzie i zawodu nie kompromitował. Nie wiem, czy do tego doszło, gdyż główny bohater sam rozwiązał problem i usunął się z sali sądowej na zawsze.

Miał nawet dobre nekrologi i epitafia. Zgodnie z zasadą, że „de mortuis nihil nisi bene" — zapomniano mu wszystko chorobliwe, śmieszne i złe, a przypomniano szereg niewątpliwych zasług.

Na zakończenie jeszcze jedna informacja.

W swoim czasie w jednej z gazet lubelskich na czołowym miejscu ukazało się ogłoszenie tej treści (sam tego ogłoszenia nie widziałem, ale słyszałem o nim od wielu starszych poważnych ludzi):

Znachorowi — takiemu a takiemu (nazwiska nie pamiętam) *który mnie wyleczył skutecznie z choroby syfilisa tą drogą składam serdeczne Bóg zapłać* — po czym następował podpis z pełnym imieniem i nazwiskiem bardzo znanej osoby. Mówiono, że to ogłoszenie bardzo wiele spraw zagadkowych tłumaczy. Jak to słusznie powiedział Boy: *bo paraliż postępowy najzacniejsze trafia głowy.*

No, ale taśma moja się wygrała i pora kończyć. Zacząłem swe plotki i wspominki od miłości — kończę na chorobie i śmierci. Tak jak w życiu bywa.

Konrad Bielski

Maria Józefacka

* * *

mój zawód
na zamówienie
od każdej minuty inny
ja
cwaniak i obibok
szumiący niby na wiosnę rynny
szczerosłowną muzyką

ale skoro mi drogę zabiegnie
starowina zgarbiona jak ćwieczek
gdy podmiata podwórze z liści
wnet się cała moja kapela
w tych liściach
zapłakuje
daremności człowieczej
krogulcowe nasze krążenie
podniebne
myzi pisk

Rzeszów

Czesław Piotr Kondraciuk

Wrota

Otwieram wrota
by wejść do wnętrza sadu
odpowiadają mi skrzypieniem
przede mną droga
pokryta śladami pragnień
wokół dorodne drzewa
gną się pod ciężarem owoców
szacuję zbiory
cieszę wzrok widokiem
i coraz dalej
odchodzę od wrót —
Czy zdołam wrócić
jeszcze przed zachodem
czy mnie wyprzedzi
cień spłoszony nocą

Lublin

Henryk Makarski

o wszystkim mówię

a wszystkim mówię że się dobrze
że dobrze mam się bardzo dobrze
no bo i po co by to było
przeżuwać żuwać żuć raz jeszcze

on modlił do niej się milczeniem
słowa banalne są i puste
więc otarł z nich spieczone usta
i rzucił na jesienną ziemię
na ołtarz porośnięty deszczem

może wypełni się ofiara
słów zamienionych
w uścisk dłoni

Rys. E. Inglot

Kamena str. 9

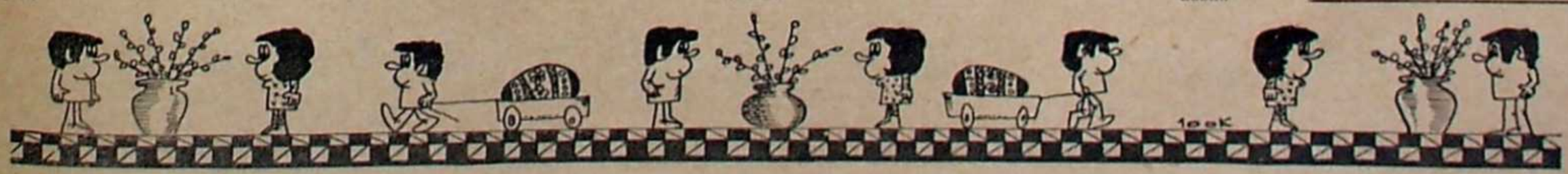

okolice sztuki

Poker na palecie

BĘDĄC już pokerowym emerytem — w czasie studiów udzielałem się co nieco przy stoliku — przechodziłem czasami przyznaję, chwile irytacji i żalu, że takie oto bogate doświadczenie karciane i równie pokaźna wiedza spoczywają we mnie bezużytecznie. Trwało to do momentu zetknięcia się z pewnym esejem wybitnego krytyka i teoretyka sztuki, głoszącego wszem i wobec, że sztuka i jej socjalno-ekonomiczne zaplecze to nic innego, jak teren nieustającej gry. Tak więc artyści grają w konwencje czy tendencje sztuki, a krytyka i marszandzi grają w artystów. Co wrażliwszych czytelników pragnę uspokoić, że to ostatnie stwierdzenie ma sens metaforyczny i nikt malarzami nie rzuca, ani ich nie tasuje.

I ta właśnie lektura pobudziła mnie do pokerowo-artystycznych refleksji. Wyobraziłem sobie czterech plastyków siedzących przy kwadratowym stoliku, po którym buszują karety, fule i pospolite trójki. Dwaj z nich to starzy wyjadacze, zasłużeni artyści pokera, ale bez nadmiernej obfitości szeleszczących walorów, natomiast pozostali prezentują osobowości biegunowo odmienne. Po kilku godzinach gra się kończy i wirtuozi odchodzą od stolika jak święci tureccy, czyli z pustymi portfelami.

Od tej pokerowej zasady nie spotyka się większych odstępstw: kto ma więcej walorów ten wygrywa, a nie ten, kto lepiej opanował umiejętność gry. Zasada ta sprawdza się nierzadko na terenie sztuki, choć tu pod pojęciem walorów należy rozumieć coś innego, a rzeczywiste miernoty przegrywają zazwyczaj w pierwszym rozdaniu. Ale kiedy do gry przystępują partnerzy — mistrzowie równorzędni, lecz inaczej materialnie zaopatrzeni, o, wtedy reguła święci triumfy. A oto walory, obiegowy środek nabywczy w życiu artystycznym: dobra organizacja, sprzyjająca krytyka, głośna oraz długotrwała reklama i propaganda przy pomocy środków masowego przekazu. Kto nie wierzy, niech czyta dalej.

Około 1954 r. Pierre Soulages, trzydziestosześcioletni wówczas malarz francuski, wystawił swoje obrazy w jednej z najgłośniejszych galerii londyńskich. Soulages miał pewien dorobek, ale nazwisko jego nie wabiło specjalnie ani marszandów, ani publiczności. Ot, dobry malarz drugiego, trzeciego rzutu. Londyńska wystawa okazała się katastrofą: nie sprzedano ani jednej pracy. Kiedy Soulages chciał zabrać obrazy, spadkobiercy założyciela galerii kupili je za niewielką sumę. I momentalnie uruchomili dobrze naoliwioną i potężną maszynerię reklamy. Dziś płótna Soulagesa nie można kupić poniżej 10 tys. dolarów.

Albo mechanizm przyznawania nagród na Biennale w Wenecji. Wydaje się, że ta tradycją obrośnięta impreza, zainicjowana w 1895 r.; daje pełne szanse sukcesu każdemu uczestniczącemu w niej artyście, jest do głębi przeniknięta duchem szlachetnej, demokratycznej rywalizacji, w której liczą się tylko wartości twórcze. Spod tych pięknych pozorów wyziera jednak chłodna reżyseria, czego najoczywistszym przejawem kierowanie uwagi jurorów, prasy i handlarzy na wcześniej „ustalonego" artystę, któremu poświęca się osobną, wielką i najczęściej retrospektywną wystawę, jak by głosząc, że tylko on właśnie godzien jest „Grand Prix". Oczywiście, zabiegi te nie wynikają z czyjegoś „widzimisię", ale poparte są racjonalnym i wszechstronnym zbadaniem aktualnej koniunktury artystycznej i znajomością rynku sztuki. Zwyciężają artyści wybitni, to prawda, ale z kilku wybitnych wygrywa ten lepiej zareklamowany, skuteczniej „zorganizowany". Tak na Zachodzie, gdzie obraz jest lokatą kapitału i przedmiotem dynamicznego handlu.

W Polsce nie istnieje co prawda walka o rynek sztuki, o wejście na taki rynek, bo trudno wchodzić na miraże, ale — jak to trafnie zauważył Aleksander Wallis — równie zacięcie walczy się o prestiż środowiskowy i społeczny, który zresztą obraca się czasami w wartości całkiem namacalne. W tych pożytecznych w końcu zapasach obowiązują jednak wspomniane już reguły owocnej gry. Sprawna organizacja życia plastycznego i donośna propaganda faktów artystycznych i twórców to ważne przesłanki widocznej obecności malarzy czy grafików na krajowym forum sztuki. „Nie ma dziś możliwości, aby student Akademii, z talentem, został niedostrzeżony" — twierdzi Andrzej Banach. Ale życie dowodzi, że ci młodzi i zdolni po osiedleniu się na tzw. prowincji nikną w szarej przeciętności setek i tysięcy — bo tam właśnie zawodzi organizacja życia artystycznego. Dotyczy to w znacznym stopniu Lubelszczyzny, a już całkowite potwierdzenie znajduje na Kielecczyźnie. Stąd właśnie te uwagi — pod rozwagę władz kulturalnych i związków twórczych wspomnianych terenów. Zresztą, nie tylko tych.

IJK

POSTE RESTANTE

Nazwa naszej rubryki Poste Restante posiada znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste Restante honorarium nie płacimy.

Pomysłowość i wena poetycka naszych korespondentów są niewyczerpane, a nasza cierpliwość bezdenna. Nie pozostaje nam więc nic innego, jak chwalebnie kontynuować cykl publikacji nadobnych erotyków. Pan „Miś" z Lublina wprawdzie nie wzdycha miłośnie do swojej bogdanki, ale za to ostatecznie zdobywa się na wnikliwą analizę kobiecej psychiki i nie tylko psychiki (zachowujemy specyficzną ortografię):

Koral Twych ust
Twych włosów heban,
liany Twych rąk,
Twych oczu Hades.

Szyja łabędzia,
lekkość motyla,
zęby perłowe,
całość ideał.

Bźmi to cudownie
i każda z pań,
młoda, czy starsza,
brzydsza, czy ładna.

Chciała by słyszeć
i tu i tam,
i to podkreślić różnym swym ciałem,
że jest kobietą ideałem...

Pan J. Z. z Puław stwierdza: *Nie piszę po nowoczesnemu w słupku. Nie uważam tego za coś lepszego. Mogę być w błędzie?* Odpowiadamy: może Pan pisać tradycyjnie, tym więcej, że szczere uczucie tętni w wierszykach poświęconych Zosi. Nasz autor zadaje obiektowi swych afektów parę pytań, a następnie próbuje paru bliższych określeń szlachetnego przedmiotu:

Dlaczego czarujesz urodą,
I przyciągasz mini modą
Jesteś zawsze jak sowa smutna,
A przy tym piękna jak lutnia.
Wydajesz mi się nieszczęśliwa,
Jak dobry pijak bez piwa.

Potem następują całkowicie bezinteresowne a bohaterskie deklaracje:

Mogę się rzucić w ogień,
Uciąć sobie dwie ręce,
Skoczyć w paszczę rekinom
I zginąć w ciężkiej męce.

Poświęcę swoje życie,
Żeby być chwilę z tobą,
Usłyszeć twoje słowa,
Zająć się twą osobą.

Nikt nas nie zdoła przekonać, że współczesny świat to targowisko cynizmu i brutalności, a także obojętności lub nawet pogardy dla uczuć najtkliwszych.

ekran i widz

Gasnąca gwiazda

WCIĄŻ jeszcze gibka jak drapieżnik, ale już jakby nieco oswojona, wciąż jeszcze słynne wargi zmysłowo wydęte, jak gdyby chciały wyssać rozkosz Ziemi, ale już z tchnieniem goryczy, wciąż jeszcze wzór dziecięcej erotyki — wyuzdanej i niepohamowanej, ale już z nalotem staropanieńskiej zdolności do zrzędzenia — napisał o Brigitte Bardot jeden z zachodnich krytyków, obejrzawszy jej najnowszy film — „Dwa tygodnie we wrześniu".

Okrutne to stwierdzenie dla idola, smutne memento o przemijaniu czasu dla widzów, szczególnie — rówieśników Bardotki. Nikt nigdy nie traktował Brigitte Bardot jako aktorki zbyt poważnie, z wyjątkiem może Francuzów, którzy uznali ją za swój „artykuł eksportowy numer jeden". Ale jakże dosadne piętno wycisnęły jej filmy na obyczajowości i moralności pokolenia trzydziesto-czterdziestolatków! Dzisiejszej młodzieży Brigitte Bardot już nie porusza.

Dla tych starszych BB jest jeszcze żywą gwiazdą, walczącą dramatycznie o usuwającą się spod nóg pozycję. Ale i oni sami z niejaką rozterką stwierdzają, że rozstają się z nią prawie bez żalu dla nowych, bardziej modnych aktorek. Celowo napisałem „modnych" a nie — „młodych". Nie w młodości fizycznej spoczywa tutaj istota problemu. Ponadczasową aktorką jest Michele Morgan i ponad modę wyrosła Sophia Loren. Tak, ale one tworzą Sztukę. Brigitte Bardot należała raczej do kategorii zjawisk społecznych, i to tych okresowych, przemijających.

Kiedy Roger Vadim postanowił w osobie swej pierwszej małżonki wylansować nowy typ gwiazdy, która zawładnęłaby wyobraźnią światowej widowni, był po temu czas najdogodniejszy. Do nowego oblicza świata burżuazyjnego nie pasowała już ani postać eterycznej gołębicy w rodzaju Mary Pickford, ufnie wspartej na ramieniu self-made-mana, nie nęcił kosztowny wamp w osobie Marleny Dietrich i jej naśladowczyń. W oczach widowni straciły łaski i francuska „mała kobietka" — Martine Carol i tzw. „good-bad girl" — dziewczyna wprawdzie kilkakrotnie upadła, ale posiadająca mimo to jeszcze tyle przymiotów, że mogłaby dać na zawsze szczęście prawdziwemu, silnemu mężczyźnie. Szczególnie „zbuntowana" i „nonkonformistyczna" młodzież oczekiwała idola pasującego do jej stylu życia. Vadim takiego idola dostarczył.

W Brigitte Bardot nie było nic z jej poprzedniczek. Albo inaczej: zgromadzono w niej starannie wyselekcjonowane najbardziej atrakcyjne cechy minionych gwiazd. BB była dostatecznie zepsuta, ale nie wyuzdana, przebierała wśród kochanków, ale potrafiła poświęcić nagle wszystko dla prawdziwej (choć zwykle krótkotrwałej) miłości, doprowadzała do sytuacji konfliktowych między mężczyznami, ale rzadko który z tych konfliktów miał tragiczny finał. A przy tym wszystkim była „dostępna" dla każdego. Nietrudno było przeciętnej dziewczynie upodobnić się i utożsamić z Brigitte. Łatwo było przeciętnemu chłopakowi znaleźć partnerkę podobną do wzoru, jaki mu proponowano z ekranu. Filmowa Bardotka nie odwiedzała fryzjera ani nie siedziała w pracowniach modystek. Nosiła dżinsy albo szerokie spódnice i obcisłe trykotowe bluzki, takie, jakie można dostać w wielkich, popularnych magazynach. Ale główną „specialité de Brigitte" była jej „l'animalité" — jej „zwierzęcość". „W typie BB — pisał kiedyś KTT — zastosowano chwyt całkowicie nowy, oryginalny. Tym chwytem jest kanonizacja stanu czystości wynikającej z powrotu do natury, kanonizacja zwierzęcości". I jeśliby Brigitte Bardot porównywać np. z kotką, nie byłaby tą leniwą przeciągającą się na słońcu, ale dziką, chodzącą własnymi drogami. Warto podkreślić, że witalność owej kotki brała się niejako „sama z siebie". Brigitte Bardot była silna i zręczna, ale tylko dlatego, że „taka się urodziła". Natura za to obdarzyła ją niezbyt lotnym umysłem. Nie reprezentowała wprawdzie BB typu „słodkiej idiotki", ale kierowała się w życiu więcej odruchami i impulsami niż rozumem. I to się zresztą zgadzało z jej „l'animalité".

Tak się też zaprezentowała w „Dwóch tygodniach we wrześniu", filmie, który miał pokazać jej nowe, a więc zgodne z istniejącą modą — oblicze. Zaangażowano jednego z najzdolniejszych młodych reżyserów francuskich, Serge Bourguignona („Niedziele w Awray"), partnerem BB został bardzo dziś modny Laurent Terzieff. Film miał być benefisem Brigitte, kręcono go pod jej dyktando. „Dwa tygodnie we wrześniu" nie spełniły pokładanych w nich nadziei. Mimo atrakcyjnej w założeniu fabuły (rzecz dzieje się w środowisku modelek, covergirls i wziętych fotografów oraz doprawiona jest ze znawstwem scenami erotycznymi) wyszedł nudnawy niewypał. Co bardziej smutne, trudno tutaj odnaleźć winnych. Winy należy szukać raczej w warunkach obiektywnych: realizatorzy kierowali się najnowszymi prawidłami gry, aktorka nie potrafiła przekroczyć progu nowoczesności. Dzisiejsza modna gwiazda (tego typu) to kobieta silna i zręczna, bo od dzieciństwa jeździ na nartach i uprawia gimnastykę, wyćwiczona w miłości, bo świadomie wybiera sobie wyrafinowanych kochanków, stanowiąca o własnym losie, bo zdobyła zawód. Słynna swego czasu „l'animalité" Bardotki wydaje się przy nich jakby trochę naiwna i prowincjonalna...

M. D.

Listy do KAMENY

DŁUGOWIECZNE MITY

ILEKROĆ czytam publikacje poświęcone Tadeuszowi Peiperowi zdumiewa mnie żywotność starych mitów. Powtarzane od lat, nie sprawdzone, nie poddane weryfikacji, stają się niemal prawdami obiegowymi. Piszę to na marginesie interesującej skądinąd recenzji Tadeusza Kiaka („O zwrotniczym poezji polskiej", „Kamena" 1969 nr 5). Wiele z zawartych w niej twierdzeń to właśnie takie stereotypy. Pisze więc Kiak: „On (scl. T. Peiper) w swoich wierszach i poematach sprawdzał wartość wypracowanych teorii i pomysłów". Zdanie to sugeruje, że w systemie peiperowskim poezja pełniła niejako funkcję usługową, sprawdzała konstrukcje teoretyczne. Nie inaczej pisał Ch. Lów: „Urodzony krytyk, zaczął tworzyć poezje na melodię teorii" („Miesięcznik Żydowski" 1934 nr 1 s. 67), „Ogrodnikiem własnych pomysłów teoretycznych" nazwał Peipera J. Kureh („Linia" 1931 nr 1 s. 7), podobnie pisano i wcześniej, i później. Nawet jeśli pominiemy gorące wystąpienie przeciw pomówieniom o „illustratorstwo" we wstępie do „Poematów" (1935), zastanowić musi zawarte w „Tedy" (i przedrukowane potem w „Kamenie" 1936 nr 7 s. 4—6) znamienne wyznanie o narodzinach „zdania rozkwitającego", wszakże argumentem przeciw tezie o illustratorstwie i pierwszeństwie teorii mogą być wreszcie wierszowane fragmenty powieści „Ma lat 22". Oczywiście — argumentem zasadniczym byłaby analiza samych wierszy, to jednak wykracza poza możliwości tej noty.

Nie jest prawdą, że Peiper „poza pierwszymi latami swojej działalności nie występował jako polemista, komentator czy egzeget własnych tekstów". W polemice z Irzykowskim („Komizm, dowcip, metafora" w: „Tedy" ss. 377—388) dokonuje Peiper interpretacji pierwszego czterowiersza słynnej „Nogi". W „Głosie Literackim" 1928 nr 22—

→

z bocznej trybuny

Jeźdźcy i konie

OD LAT kilkunastu jeździectwo polskie przeżywa wyraźny renesans. Wprawdzie nie powiodło się nam na Olimpiadzie w Meksyku, lecz na stadionach europejskich Polacy znów są uważani za groźnych przeciwników.

W tym odrodzeniu sportu jeździeckiego jakoś nie bierze udziału województwo lubelskie. A przecież na naszym terenie, bo właśnie w Janowie Podlaskim, znajduje się słynna na cały świat stadnina koni, istniejąca już 152 lata; o posiadaniu zwierząt z Janowa marzą hodowcy i kluby sportowe na obu półkulach. Również rolnicy indywidualni hodują u nas masowo cenne konie półkrwi, które potem sprzedawane są na aukcjach międzynarodowych. Jeśli do tego dodamy, że w Białce, w pow. krasnostawskim znajduje się duża stadnina ogierów, w której wicedyrektorem jest znany ongi jeździec Mioduszewski, można się naprawdę dziwić, zarówno temu, że w Lublinie nie ma wyścigów, ta były gdy miasto miało trzy razy mniej mieszkańców), jak też temu, że jeździectwo sportowe u nas nie rozwija się.

Wprawdzie w Janowie i w Białce konie są ujeżdżane, bo dziś nikt nie kupi wierzgającego dzikusa, lecz dalekie to jest od prawdziwego treningu sportowego. W Tarzymiechach, wsi sąsiadującej z Białką, istniał klub jeździecki LZS, składający się z miejscowych rolników, a trenowany przez dyr. Mioduszewskiego. Dziś klub w Tarzymiechach, jeśli nawet działa, to nie liczy się w świecie jeździeckim.

W roku 1953 grupa entuzjastów hippiki zorganizowała w Lublinie Lubelski Klub Jeździecki. Uzyskali od władz miejskich przydział na starą stajnię na Węglinie; jeden z założycieli klubu wypożyczył do użytku wszystkich członków swoje dwa prywatne konie, dostali jakąś dotację, kupili jeszcze parę koni i zaczęli działać. Gdy prasa doniosła o powstaniu nowej placówki sportowej, zgłoszenia kandydatów do niej posypały się jak z worka. W klubie rozpoczęła się nauka jazdy konnej dla początkujących, treningi dla zaawansowanych, klub zorganizował też zawody na stadionie przy al. Zygmuntowskich z udziałem jeźdźców i koni z kilku znanych ośrodków w Polsce. Publiczności przyszło więcej niż na żużel.

Od 1 czerwca 1968 r. klub przeszedł pod opiekę Ludowych Zespołów Sportowych i otrzymał nazwę „Ludowy Klub Jeździecki w Lublinie". Przy okazji dokonano weryfikacji członków, skreślając tzw. „martwe dusze". Obecnie klub liczy 278 członków, ma 8 koni własnych i 2 wypożyczone i dysponuje starą stajnią na Węglinie. Tam też odbywają się treningi. LZS-y dają 20 tys. zł rocznie na utrzymanie klubu, pewnej pomocy udzielił jednorazowo Wydział Rolnictwa i Leśnictwa Prez. WRN, poza tym do kasy klubowej wpływają opłaty od członków (wpisowe — 30 zł, składka miesięczna — 5 zł, godzina w siodle — 15 zł) oraz pieniądze ze sprzedaży koni (dawniej kupowali je po ok. 5 tys. zł, dziś cena „surowego" konia wynosi 10—20 tys. zł, a po roku treningu można go odprzedać za 50—60 tys. zł). Jest to jednak w sumie niewiele, bo samo wyżywienie jednego konia kosztuje około 20 zł dziennie. Gdyby ktoś chciał policzyć, ile klub bierze w sumie za jazdy, to trzeba wziąć pod uwagę, że koń w dobrej kondycji może chodzić pod siodłem 4—5 godzin dziennie. Latem klub boryka się z nadmiarem chętnych do jazdy. Jednakże mniej więcej od początków listopada do końca marca amatorów galopady jest niewielu, czasem nie wystarcza ich, żeby każdy koń pochodził godzinę dziennie pod siodłem, co jest niezbędnym minimum. W rezultacie więc, na przedwiośniu, nieraz jest taka sytuacja, że nie wiadomo, czy wystarczy pieniędzy nie tylko na płace dla ludzi zatrudnionych na ryczałtach w klubie, ale nawet na paszę dla koni.

Mimo to jakoś działają. Trzy konie, „Dont", „Garonna" i „Latarnik", wszystkie 3—4-latki, rokują duże nadzieje na osiągnięcie w niedługim czasie dobrej formy. Polski Związek Jeździecki ma kupić im wkrótce jeszcze jednego, po którym można się sporo spodziewać. Na koniach tych trenuje 6-osobowa grupa wyczynowców, z których najlepszymi są studenci WSR Lis i Mioduszewski. Klub ma już obiecany przydział terenu po dawnym torze wyścigów konnych oraz znajdujących się tam stajni. Gdyby uzyskał jakąś dotację na remont tego obiektu, mógłby urządzać częściej w Lublinie zawody z udziałem obcych drużyn. Ale nawet bez tego, placówka w mieście jest potrzebna. Mimo niedostatku koni, klub nie zamyka swych szeregów i nadal przyjmuje chętnych (biuro mieści się w lokalu LZS przy Krak. Przedm. 52), a trener Jan Morawski obiecuje, że każdy będzie mógł równomiernie korzystać z wierzchowców. Młodzi adepci, będą mogli korzystać z rad i pomocy takich doświadczonych koniarzy jak: Stefan Rosiak, Jerzy Lecewicz, Władysław Jarząb, Andrzej Kielczewski, czy Wacław Radomiński (prezes klubu) — w większości mających za sobą jeszcze karierę kawalerzystów. Przy klubie działa też — jako samodzielna placówka, dotowana przez ZSP — Akademicki Klub Jeździecki, zrzeszający 160 członków oraz 120 kandydatów, uczęszczających obecnie na kurs jazdy. Piszę cały czas w rodzaju męskim, choć połowa członków LKJ i AKJ to panie.

Te osiągnięcia, uzyskane w tak skromnych warunkach, na pewno zasługują na uznanie. Jednakże wyczynowe sukcesy nie będą możliwe, dopóki klub nie otrzyma stałej, wystarczającej dotacji, dopóki jeździectwo nie zostanie w Lublinie potraktowane jak każdy innych sport, a nie pasja grupy entuzjastów.

R. W.

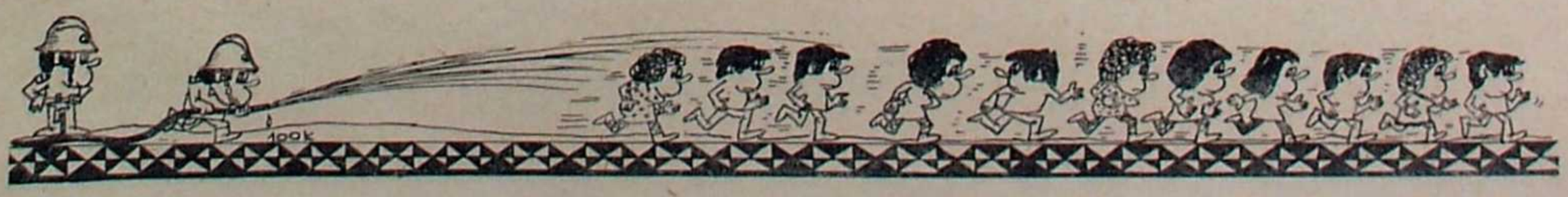

moje **LEKTURY**

Pośród książek i ludzi

WSPOMNIENIA Stanisława Lama zamyka indeks nazwisk, obejmujący osiemnaście stron druku. To nie pedantyczna informacja bibliograficzna, ale spostrzeżenie dotyczące najistotniejszych wartości tej książki, co poświadcza i tytuł: *Życie wśród wielu*. Tytuł niemal awangardowy w swej wieloznaczności, bo czytelnik może sobie dodawać uzupełnienia: wielu spraw, ludzi, książek, epok. Jest to bowiem książka o tych wszystkich kręgach, przez które przechodził i wśród których obracał się Stanisław Lam. A oddawał się on wielu zajęciom. Był dziennikarzem, historykiem literatury i wydawcą, redaktorem Biblioteki Laureatów Nobla i fundamentalnych dla kultury polskiej encyklopedycznych i popularnonaukowych wydawnictw Trzaski, Everta i Michalskiego. Koleje życia miał Lam bardzo urozmaicone i prowadziły go one przez miejsca, gdzie działy się ciekawe rzeczy, a więc Lwów, Wiedeń, Kraków i Warszawę.

Wybór zainteresowań był u Lama zrozumiały. Pochodził on z rodziny urzędniczej, ale stryjem jego był świetny pisarz, Jan Lam, autor *Głów do pozłoty* i *Kronikarza w Galicji*. (Dodajmy, że tradycja literacka rodu przedłuża się — pamiętnik S. Lama przygotował do druku jego bratanek, krytyk i historyk literatury, Andrzej Lam). Nic dziwnego, że literatura zaprzątała najwięcej uwagi ucznia gimnazjum galicyjskiego miasteczka, który jeszcze przed maturą był autorem broszury o twórczości Wyspiańskiego. Praca w dziennikach i wydawnictwach dała Lamowi okazję do niezliczonych kontaktów z ciekawymi ludźmi — pisarzami, krytykami, dziennikarzami, wydawcami, a także politykami, bowiem dzienniki ówczesne zazwyczaj były związane z którymś z ugrupowań politycznych.

Pamięć Lama uchwyciła jeszcze, chociaż u schyłku, całą czołówkę pisarzy Młodej Polski. We wspomnieniach jego pojawiają się zwięzłe, ale znakomicie napisane, same w sobie zresztą bardzo dramatyczne, portrety S. Przybyszewskiego, K. Przerwy-Tetmajera, J. Kasprowicza, A. Nowaczyńskiego, S. Żeromskiego, L. Staffa i J. Lorentowicza. Kapitalna jest sylwetka A. Oppmana (Or-Ota), choć bardzo złośliwie nakreślona. Szczypty złośliwości, ironii, zgryźliwości, aluzje i ukłucia, to bardzo zresztą zasadnicze rysy tej książki. Nie służą one sensacji, nie stanowią dla nikogo ujmy, to po prostu próba przekazania ludzi takimi, jakimi byli, wierność prawdzie i faktom. A jakże ogromnie wzbogaca to materiał książki, jak świetnie przyprawia jej smak. Że Lam, podając nawet anegdoty czy plotki, dawał świadectwo czasom, świadczy jego pretensja do Lorentowicza za to, co pisał i mówił on o Gabrieli Zapolskiej:

Z tego, co w rozmowach z nim o Zapolskiej wywnioskować można było, chciał być dyskretny wobec kobiety, z którą łączyło go coś więcej niż przyjaźń. Ale dyskrecja nazbyt daleko posunięta, jeśli chodziło o kobietę o jej znaczeniu.

Osobiste podejście do spraw i zachowywanie własnego punktu widzenia stanowi dobre prawo pamiętnikarza, który dostarcza historykowi świadectw, ale sam nie musi mieć obiektywizmu historyka. Jakże wtedy nudne byłyby wspomnienia. Wystarczy porównać, co o firmie wydawniczej „Gebethner i Wolff" napisał kiedyś Jan Muszkowski, a co czytamy w książce Lama. Tam mamy historię oficjalną, a tu widzimy rzeczy od strony kuchni, obserwujemy żywych ludzi. Może kiedyś zresztą przeczytamy, co inny wydawca napisał w swoich pamiętnikach o Stanisławie Lamie? Byłyby to rzeczy na pewno interesujące.

Podkreślałem tu subiektywny charakter *Życia wśród wielu*. Z drugiej jednak strony jest to książka bardzo historyczna, mówiąca o czasach dzisiaj trudnych niekiedy do zrozumienia. Ot, choćby stosunki na linii wydawca — pisarz. Na tle uporządkowanych obecnie przepisami i umowami stosunków fakty, o których opowiada Lam, mają posmak nadzwyczajności. Oto Lam zawiera z Reymontem na schodach umowę na powieść dla swego wydawnictwa i wręcza mu od ręki całość honorarium, zaś Reymont po pewnym czasie przybiega, by oznajmić Lamowi, że pieniądze są prawdziwe i wyrazić zdumienie, że otrzymał tyle bez targu. Albo Orkan, wydostający podstępnie po otrzymaniu zaliczki rękopis utworu, który sprzedaje potem komu innemu. Czy też Wolff, zamykający na klucz Oppmana, póki ten nie napisze utworu na konto poprzednich zaliczek.

Jest to książka wielkiego weredyka, ale i dzieło człowieka wysokiej kultury. Pisana bez rozgrzeszeń i pobłażliwości, ale z całkowitą uczciwością. W tych wspominkach, kreślonych „na marginesie literatury i życia" otrzymaliśmy pasjonujące, znakomicie napisane dzieło, jedną z najciekawszych książek ostatniego czasu.

Tadeusz Kłak

Stanisław Lam: Życie wśród wielu. Przygotował do druku Andrzej Lam. Warszawa 1968. PIW.

„Ballada chłopska" Stefana Wolskiego

NASZĄ współczesną powieść historyczną można z grubsza podzielić na trzy odmiany: na fikcję połączoną z historią adaptowaną, z historiozofią i — z dokumentem historycznym. Pierwszą wyeksploatowali nasi wielcy mistrzowie powieści historycznej tak, że już niewiele można z niej wykrzesać, druga przynosi mnóstwo dowolności, co w rezultacie czyni ją często niezrozumiałą, czy też mało komunikatywną, a więc pozbawioną w dużej mierze elementów emocjonalnych. Trzecia ma znaczne szanse rozwoju, choćby z uwagi na jej wartości dokumentalne, tak bardzo cenione przez dzisiejszego czytelnika. Ale tu — szkopuł techniczny: granice pomiędzy fikcją a historią adaptowaną czy historiozofią z natury rzeczy są dość płynne, co daje autorom dużą swobodę.

Inaczej jest z powieścią dokumentalną. Dokument to zwykle całość nienaruszalna, o stałych i ostro zarysowanych granicach; jakże więc połączyć ją z fikcją powieściową? Odpada ta trudność, gdy dokument jest zarazem dziełem literackim, kiedy twórca dokumentu i twórca wprowadzający ten dokument do dzieła literackiego stanowią jakby spółkę autorską, jak to było na przykład z Janem III i Boyem Żeleńskim w procesie genetycznym „Marysieńki Sobieskiej". Ale jak rozwiązać ten problem, gdy wchodzi w grę tekst publicystyczny, dokumentalny, pozbawiony wartości literackich, ot, dla przykładu choćby jeden z tych, które ilustrują działalność polityczną księdza Ściegiennego?

Daje na to odpowiedź „Ballada chłopska" Stefana Wolskiego. Otóż mamy tam kilka sposobów rozwiązania tej trudności. Autor ograniczył wykład polityczny do minimum, do proporcji powieściowych i wprowadził retorykę polityczną tylko tam, gdzie to jest konieczne. I tak na stronie 33 mówi o Gromadzie Grudziąż, na stronie 36 — o Goszczyńskim, na 29 — o związku chłopstwa z mieszczaństwem, na 321 — o programie politycznym Kamieńskiego itd. Ważne tu jednak to, że autor wprowadził te partie w tok opowiadania za pośrednictwem momentów dialogicznych, emocjonalnych, psychologicznych, obrazowych i in.

Jak to wygląda w tekście? Na stronicy 32 czytamy:

„Znów siedzieli przez kilka chwil bardzo cicho i żaden z nich nie wiedział, jak zacząć, bowiem nikt nie wierzył w możliwość porozumienia.

Nagle Ściegienny znów przemówił:

— Wiecie, myślałem w tej chwili o emigracji, a zwłaszcza o bliskiej nam.

— Myślicie o Gromadzie Grudziąż?

— Tak, o niej myślę. Tę organizację namiętnie zwalcza zarówno Hôtel Lambert z księciem Czartoryskim na czele, jak i Towarzystwo Demokratyczne Polskie (...)"

Przejście od narracji beletrystycznej do formacji publicystycznej jest tu bezpośrednie i towarzyszy mu odpowiedni nastrój bohaterów utworu, stąd naturalność i podwójna wymowa tej partii, powieściowa i historyczna.

Inny przykład na stronicy 37:

„— I ja pamiętam! — wykrzyknął Dzwonkowski. — Nie było nikogo, kto na wezwanie Klubu Patriotycznego nie odpowiedziałby udziałem w manifestacji" (...)

Tu panuje nad całością wykrzyknik, tak że następująca po nim wypowiedź polityczna zabarwiona jest emocją, żyje i wykracza poza dokumentalną informację.

Na stronicy 250 poprzedza politykę taki dialog:

„— To jest Łapa, Maciej Łapa spod Lublina.

— Opowiedział mi, że jest zbiegiem i dlaczego zbiegł. Dużo macie tutaj takich?

— Jest ich trochę.

— Macie z nimi kłopot? (...)

— Ważną rzecz poruszyliście, bracie. Nam chodzi również o to, ażeby to połączenie chłopów z mieszczanami stało się normalnym, programowym następstwem działalności Związku (...)

Są i skojarzenia psychologiczne (str. 320):

„Kamieński zatrzymał się przy Ściegiennym, przerywając swój niespokojny marsz po pokoju.

— Już wiem, jak mam się do was zwrócić! — wykrzyknął — Bracie, przyjacielu, towarzyszu, tylko wy zostaliście na placu boju z wielką siłą wojskową waszych chłopów.

— Nie tylko chłopów — uzupełnił cicho Ściegienny.

— Oddaję wam sprawiedliwość, że w ciągu tego roku zrobiliście bardzo wiele i niepomiernie wzrośliście na sile i znaczeniu. Oczywiście, znam wasz program społeczno-polityczny i wiem, że nie w każdym punkcie możemy się zgodzić, wszelako w jednym godzimy się na pewno (...)"

Podobne związki mamy i w innych miejscach. Dzięki nim narracja powieści jest płynna i interesująca, tym bardziej, że i poszczególne postaci oraz sylwetki powieści, a zwłaszcza jej bohater główny, przewijają się przez tok akcji żywo i w sposób wyrazisty, co daje się zauważyć już w pierwszym rozdziale książki, w dialogu i sytuacjach psychologicznych Ściegiennego i Sobolewskiego.

Autor bardzo często widzi sprawy polityczne przez pryzmat życia osobistego swoich bohaterów, jak m. in. w przypadku Augustyna Rychtera, który tak tragicznie zaważył na czynie rewolucyjnym Ściegiennego, z czym łączy się jednocześnie ciekawy wątek miłosny. Powieściowe rozwikłanie tych nader skomplikowanych i, jak dotąd, w wielu wypadkach nie wyjaśnionych spraw, to poważne osiągnięcie Wolskiego. Trzeba też przyznać, iż porusza się on z dużą swobodą na pograniczu historii i fikcji, a to — jak się rzekło — rzecz ani łatwa, ani prosta.

Ale nasuwają się też zastrzeżenia i pytania, zwłaszcza w zakresie kompozycji utworu, na przykład takie: jaki jest cel retrospekcji warszawskiej w opisie podróży Ściegiennego do Kurowa (str. 22), albo czy właściwie połączone zostały momenty dramatyczne w zakończeniu powieści z jej ogólnymi założeniami ideowymi? Albo: dlaczego właśnie w tym miejscu kończy się powieść?

Tyle — zastrzeżenia, nie umniejszają one jednak faktu, że „Ballada chłopska" przynosi szereg interesujących obrazów z życia tak osobliwego bohatera, jakim był Ściegienny, ksiądz — rewolucjonista. Nic też dziwnego, że książka jest poczytna.

Eugeniusz Gołębiowski

Marcowa mobilizacja

Dokończenie ze str. 7

Dwa dni później w moim mieszkaniu na Żoliborzu zjawił się jakiś człowiek w średnim wieku i grzecznie ale stanowczo poprosił, abym jeszcze tego samego dnia stawił się w jednym z domów przy ul. Senatorskiej. Wiedziałem, że tam mieściła się jedna z komórek „dwójki" — wywiadu wojskowego. Przyjęli mnie tam bardzo uprzejmie jacyś cywile. Z rozmowy okazało się, że pocztówkę wrzuciłem gdzieś w okolicach Łomży. Ale rzecz w tym, że skrzynka pocztowa została opróżniona nie przez pracowników poczty, ale kogoś, kto widocznie chciał przeczytać nadawaną przez nas korespondencję. Po jej przyczytaniu wrzucił ją znowu do skrzynki pocztowej — ale już w Wilnie. Więcej mi nie powiedziano, ale nie ulegało wątpliwości, że to była jedna z akcji, przeprowadzanych przez wywiad niemiecki. Miętek, z którym wtedy spotykałem się co kilka dni, był przesłuchiwany w tej samej sprawie i tak samo jak ja zdziwiony.

W kronikach wojskowych nasz sześciotygodniowy pobyt w Działdowie nie został zanotowany jako mobilizacja, ale jako powołanie na ćwiczenia. Pora jednak na ćwiczenia była niezwykła, a opisane w skrócie okoliczności, jak również bardzo nagły tryb wezwania, pozwalają stwierdzić, że w istocie była to pierwsza, chociaż nieoficjalna mobilizacja. Objęła ona zresztą także żołnierzy, bo stan wszystkich kompanii w Działdowie był całkowity, co normalnie nigdy nie miało miejsca.

Prawdziwą mobilizację zarządzono dopiero 31 sierpnia, chociaż w Warszawie ogłoszenia pokazały się już dwa dni wcześniej, ale pod presją Anglii i Francji natychmiast je zdarto. Ten pierwszy etap mobilizacji mnie nie objął, a na przeprowadzenie drugiego już zabrakło czasu. Walka w Batalionach Robotniczych obrony Warszawy we wrześniu była już walką ochotniczą, ale to całkiem inny rozdział.

Jerzy Dostatni

Zaproszenie do miasta

Dokończenie ze str. 3

młode. Decyzja co najmniej dziwna. Przeznaczony do wyrębu las to resztki puszczy sandomierskiej, niemal naturalny rezerwat. Poza tym miasto, gdzie las rośnie dosłownie na wyciągnięcie ręki, jest wyjątkiem i ten wyjątek Dyrekcja z Przemyśla winna uszanować. A wojna o las trwa, na razie papierkowa, lecz skóra cierpnie na myśl, że lada dzień zacietrzewieni leśnicy zamienią pióra na topory.

W lasach i na polach leży w ziemi sporo starych urn, przedmiotów i narzędzi kamiennych, cennych dowodów materialnej kultury Słowian. Sporo wykopalisk przechowują miejscowi amatorzy-archeolodzy. Działacze myślą o jakimś małym muzeum, gdzie obok staroci poczesne miejsce zajęłyby wzory koszykarskie w liczbie około dwóch tysięcy czterystu.

Te i jeszcze inne pomniejsze sprawy spędzają sen z oczu wielu tęgim działaczom społecznym — przewodniczącemu Czechowi, sekretarzowi KM Julianowi Pintalowi, pedagogowi Syrowatce, dyrektorom i kierownikom miejscowych zakładów pracy, radnym i licznym woluntariuszom społecznej działalności. Jest ich naprawdę wielu i właśnie dzięki temu troska o losy miasta rozkłada się na nich wszystkich, nie łamiąc wielbłądziego grzbietu.

Jedźcie do Rudnika nad Sanem! Zobaczycie wiele ciekawych rzeczy. Ujrzycie miasteczko ładne i czyste, niczym waza, której nie ulepili święci. Ludzie tam są tacy jak gdzie indziej, tyle, że wychynęli z własnych domów, przyjrzeli się swojemu miastu i orzekli, że może być wygodniejsze i ładniejsze. I jest wygodniejsze i ładniejsze niż było kiedykolwiek.

Bogdan Madej

Nr 4, 2 (przedruk w „Tędy"; pierwodruk zawiera reprodukcje interesujących projektów kostiumowych Mili Elin) interpretuje dramat „Szósta i Szósta", w artykułach z lat trzydziestych Peiper nie tylko powołuje się na wcześniejsze artykuły i wiersze, ale z tamtych pozycji polemizuje z nowymi tendencjami w poezji Przybosia i (zwłaszcza) Brzękowskiego, dokonując jednocześnie znamiennych dopełnień i korektur swojej teorii poetyckiej.

Dyskusji domaga się także twierdzenie Klaka o „klęsce Peipera jako poety", o tym, że „jego poezja była tylko literaturą". To ostatnie utrzyma swą zasadność tylko wówczas, jeśli nie będziemy traktować go jako określenia pejoratywnego, ale jedynie jako konstatację faktu, że Peiper usunął z wiersza elementy muzyki i plastyki. Łatwo wreszcie zauważyć, że ta programowo antymetafizyczna poezja miała w istocie wiele z metafizyki. Nie była wcale tak krańcowo racjonalistyczna, jak chciał tego jej autor. Wystarczy powołać się na erotykę, wystarczy przywołać te fragmenty „Tędy", które dopuszczają interpretację w kategoriach freudowskich, wystarczy przywołać peiperowską obsesję ciała, imperatyw czystości. Urycam, szersze uzasadnienie nie mieści się w ramach tej polemiki.

Można nie cenić dramaturgii Peipera, trudno jednak nie widzieć jej nowości i wagi. St. Adamczewski, którego trudno uważać za szczególnego admiratora awangardy teatralnej, uważał „Skoro go nie ma" za „jedną z najciekawszych i najudatniejszych sztuk teatralnych ostatniego roku" („Rocznik Literacki" 1933 s. 58), do wystawienia w „którymś z teatrów warszawskich" zalecał ją Irzykowski („Pion" 1934 nr 14), „teatrom, zwłaszcza tym poważnym, które nie dopuściły jeszcze na swe deski szmiry", zbierał na nią uwagę J. Przyboś („Sens poetycki" s. 139); warto w tym miejscu przypomnieć również instruktywną pracę J. Ambrozko „Tadeusza Peipera koncepcja dramatu" („Prace literackie" VII Wrocław 1965 s. 115—138). Nie tylko w świetle tych prac zdanie Klaka: „dramaty też nie mają perspektyw scenicznych" należy uznać za co najmniej niesłuszne. Można się zgodzić, że waga twórczości powieściopisarskiej Peipera (ab. powieść „Ma lat 22" nie jest „jedyną" — w 1949 roku ukazała się druga powieść: „Krzysztof Kotumb Odkrywca") nie dorównuje jego twórczości poetyckiej, trudno jednak przyjąć, że może nas interesować jedynie „jako kończący epizod dziejów swego twórcy". Takich wątpliwości recenzja Klaka budzi sporo. Podobnie zresztą jak monografia S. Jaworskiego, o której będę pisał w innym miejscu. Pisząc te uwagi na marginesie artykułu Klaka pamiętam, że adresuję je do autora jednego z pierwszych po 1956 przypomnień Tadeusza Peipera — ważnego w swoim czasie szkicu „Potrzeba nowych ust czyli o aktualności Peipera" („Kurier Lubelski" 1958 nr 157 nr 3).

A. K. Waśkiewicz
Zielona Góra

HERBACIANA EDUKACJA

Z przyjemnością przeczytałem interesujący „artykuło-felieton" W. Wodeckiego pt. „Herbaciana edukacja". Wprawdzie nie kłóciłem się — jak autor — z Mahometem, nawet w duchu, ale byłem w Gruzji i piłem tam rzeczywiście wspaniałą herbatę. Przywiozłem dwie paczuszki do domu i wszyscy byli zachwyceni, chociaż przyrządziliśmy tak samo, jak dostępną w naszych sklepach herbatę „Gruzińską". Różnica jednak była ogromna i właściwie dziwię się, że nasi przyjaciele z Gruzji nie protestują że to, co sprzedajemy u nas, nazywamy herbatą „Gruzińską". Czy rzeczywiście rzecz polega tylko na jakości wody?

St. Kwieciński
Białystok

O ULICĘ PANKIEWICZA

Chrzcimy ulice nazwiskami sławnych ludzi, najczęściej polityków, działaczy społecznych, pisarzy. Ludzie sztuki — przynajmniej w Lublinie — mniej mają jednak szczęścia do takiego upamiętnienia. A w Lublinie powodów do uhonorowania ich tablicą sporo. Związani byli z miastem — choćby okresowo czy tematyką twórczości — tak wybitni malarze, jak Pankiewicz, Zalewski, utrwalili lubelskie zaułki Wyczółkowski. Wykaz ten można by zresztą rozwijać dość długo, ale nie chodzi przecież o wpisanie wielu nazwisk w lubelskie ulice. Dwie czy trzy ulice w śródmieściu należałoby przecież wybranym postaciom poświęcić. Co dedykuję władzom miasta.

Z poważaniem
Janusz Okoniewski
Lublin

„Pobrzeże"

Z przyjemnością witamy nowego sojusznika w pracy. Jest nim miesięcznik kulturalno-społeczny „Pobrzeże", pismo Koszalińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego, wydawane przez RSW Prasę. Jest to właściwie kontynuacja ukazujących się poprzednio nieregularnie „Zapisków Koszalińskich".

Pismo jest poświęcone głównie problemom, związanym z morzem i województwem koszalińskim. Wśród autorów w pierwszym numerze widzimy Władysława Machejka, Alojzego Srogę, Feliksa Fornalczyka, Czesława Kuriatę, Jerzego Pertka, Leszka Proroka.

„Człowiek i Światopogląd"

Ukazał się pierwszy numer miesięcznika „Człowiek i Światopogląd", wydawanego w Warszawie przez RSW Prasę. Jest to kontynuacja dwumiesięcznika „Zeszyty Argumentów", ukazującego się od 1962 r. Zbyt rzadko ukazujące się „Zeszyty" nie mogły szybko i wielostronnie propagować tego wszystkiego, co służy rozwojowi laickiej kultury socjalistycznej.

W nocie do czytelników redakcja miesięcznika podkreśla, że jej celem jest m. in. upowszechnianie wartości socjalistycznego humanizmu i etyki świeckiej, rozwijanie myśli społecznej w oparciu o dorobek teoretyczny i perspektywę badawczą metodologii marksistowskiej, wspieranie procesów humanizacji stosunków międzyludzkich. Pierwszy numer dowodzi, że te problemy będą poruszane w sposób interesujący.

Z piosenką jest nam wesoło

Dokończenie ze str. 8

Kazimierowska wykonali te komiczne obroty i podskoki z dużym wdziękiem. Na specjalne wyróżnienie zasługuje też „śpiewotan" Motylińskiego i Jadwigi Ochotnickiej, naśladujący podróż pociągiem.

W konkurencji aktorskiej prowadzą „kawalerowie" — ostatecznie ich to klub... Pełne pokrycie na swoje nazwiska w sztuce prezentują — Andrzej Chmielarczyk — Wygodnicki i Jerzy Smyk — Nieśmiałowski. Andrzej Gazdeczka — Piorunowicz, zrazu frapujący, piorunuje może zbyt uporczywie przez całe trzy akty, co podważa wiarygodność afektu Jadwini. Za to Zbigniew Sztejman — Motyliński promieniuje nienagannie do ostatka manieryczną gracją fircyka z fin de siècle'u ku wielkiej uciesze widzów. Sylwester Woroniecki w postaci Władysława jeszcze nie wykazał swych możliwości, a Tadeusz Bourdo, niezbyt szczęśliwie obsadzony w roli wujaszka-konkurenta, zneutralizował ją ponad intencję autora.

Wśród dam rej wodzi Pelagia Dziurdziulińska — wytwornie komiczna Nina Czerska. Jej się to zestawienie zawsze udaje! Popatrzcie tylko, z jaką paradną miną żwawo lawiruje między kawalerami, strojna niczym paw (stokrotne dzięki Pożakowskiej!). I głosem niebo obdarzyło Czerską szczodrzej niż prawie wszystkie jej partnerki.

Poza tym większych zastrzeżeń nie mam do postaci słomianej wdówki, Jadwigi Ochotnickiej, którą odtwarza Barbara Martynowicz. Sympatyczna artystka ujmuje dowcipem i werwą. Dobrze się prezentuje jako młoda jeszcze mama Mirska Elżbieta Święcicka, którą zbyt rzadko widzimy na scenie, a obecnie pokazano w roli drugoplanowej.

Natomiast emploi pierwszej naiwnej, zdaje się, nie odpowiada dyspozycjom Barbary Grabowskiej, której powierzono postać Maryni.

Tak czy inaczej — w sumie wielki aplauz dla reżysera, choreografa, scenografa i zespołu aktorskiego występującego według statutu i pod sztandarem „Klubu kawalerów"!

Maria Bechczyc-Rudnicka

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: KONRAD BIELSKI, JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIROSŁAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI (kierownik działu publicystyki) i ROMUALD WIŚNIEWSKI. Redakcja techniczna i korekta — ALICJA KRÓLIKOWSKA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch". Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Adres redakcji:
Lublin, ul. Narutowicza 25

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-33, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35

Korespondencję zwykłą prosimy kierować na adres: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecone i ekspresowe — na adres redakcji.

Zam. 882. 12.III.69. F-6

Kamena str. 11

MINUTA MYŚLENIA

Prośba do jabłoni

CZYTELNIK zamiłowany w kontrowersjach zdarzających na łamach prasy zaciera ręce: w „Kulturze" z 2.III.69 r. Hamilton spiera się z Zielińskim o odczytanie hamiltonowej „Małej złotej szubienicy", w tym samym numerze tego samego tygodnika KTT kontruje felieton Kobylińskiego zamieszczony w „Życiu Warszawy" z 7.II.69 r., co rekontruje z kolei Kobyliński w następnym numerze „Kultury", w „Polityce" z 1.III. Szczypiórski unicestwia wypowiedź Kuszewskiego w TV z 23.II.69 r. mającą unicestwić wypowiedź Szczypiórskiego, w „Polityce" z (nr 7 dz. i data), a anonimowy W. W. w „Polityce" z 1.III.69 przygważdża — tym razem w charakterze rzeczowych sprostowań — błędy popełnione przez „Forum", „Magazyn Polski", i „Kulturę". Brydż na całego. (Szkoda tylko, że w Lublinie tak cicho. Może by sprowadzić jakiegoś plastyka z Białej Podlaskiej i przez osiem miesięcy nie dać mu pracy? Jak się okazuje, jest to skuteczny sposób na wywołanie ruchu umysłowego w środowisku).

Właściwie słowa pozornie nie mają żadnych intencji ironicznych. Nawet szkoda, że dwadzieścia pięć lat literatury polskiej nie wytworzyło takich antagonizmów, jakie mogłyby pokusić się o przejście na karty legendy, czy choćby anegdoty. Nie mamy obecnie biegunów (chodzi o przedmiot, a nie napaście sporu) w rodzaju Brzozowski — Feldman, Irzykowski — Boy, Kruczkowski — Kaden. Jeden Przyboś skłócony ongi ze wszystkimi skamandrytami, zdrojowcami, kwadrygowcami i czartakowcami, a obecnie Różewiczem, Białoszewskim, pamięcią Gałczyńskiego i nie pisującym wierszy Bereżą mimo swej niebywałej na tym polu aktywności nie zapełni luki w polskiej „antagonologii". No, Teoplitz. Ale ani Hans Kloss, ani Helena Matusiak nie są w stanie podjąć polemicznego partnerstwa nie będąc w stanie się ucieleśnić.

Prawda, ratują jakoś sytuację ci, którzy polemizują z sobą, jak np. wymieniony już Hamilton. Wprawdzie nie na przestrzeni jednego felietonowego odcinka, ale z sobą. Stanął bowiem kiedyś w obronie kotów protestując przeciw udręce nawet głaskania mogącej spowodować ich śmierć, następnie organizował niemal nagonkę na owe czworonogi wyliczając, ile to ekonomicznych korzyści może przynieść ich przeróbka na surowiec przemysłowy. Może wyraziła się w tym ewolucja poglądu osiągająca tak rozległy horyzont, a może relatywizm myślenia dotykający zawsze umysłowości żywe i nieschematyczne, a każdym razie, zagwarantowawszy mimo wszystko owemu domowemu zwierzęciu humanitaryzm potraktowania, chętnie w owym postępowaniu znanego felietonisty dopatrywałbym się cech intelektualnie dodatnich. Stwarzać przeciwnika, kiedy go nie ma, w ostateczności postawę szermierczą przyjąć przed lustrem — czyż nie przyczynek to do wzbogacenia dorobku umysłowego powstającego w drodze starć i konfliktów?

Już widzę, jak wywołany w warszawskiej „scansarni" duch Pyrrkona z Elidy rozpływa się we własnym uśmiechu, ale czy przypadkiem antagonizmom tym nie służy nieprecyzyjność użytych terminów? A przynajmniej ich komentowanie nacelowane na wyprowadzenie wypowiedzi przeciwnika z rejonu sensownych stwierdzeń? Ileż ku temu możliwości. Weźmy np. konwencjonalną obawę zawartą w słowach, z jakimi się często spotykamy: „Mamusiu, Tereska ma temperaturę". Oczywiście, ma ją zawsze, nawet jako trup, ale czyż w wyobrażeniu troskliwej mamusi nie powstanie obraz gorejącego piekła w ciele ukochanej córeczki? Mamy więc do wyboru postawę Celsjusza i postawę rodzicielki. Zręczny polemista ani chybi wywinie tu zygzakiem swego rapiera.

Ale cóż. Śmiejmy się. 1 kwietnia daje ku temu sposobność kolosalną. Że Prima Aprilis? Skądże, wiosna, panowie. Niech no tylko zakwitną jabłonie...

Ijon

Rys. W. Fuglewicz

BIG-BEAT

Miss Jacobson

PANIE Redaktorze! Zabawa była na sto dwa. Wybraliśmy się w trójkę — Jurek, Hanka i ja — do pewnego w miarę ekskluzywnego klubu. Zamówiliśmy po trzy piwa, po trzy kawki. Hanka była tu po raz pierwszy. Ciekawie rozglądała się po sali, która coraz bardziej zaczęła się zapełniać, za chwilę bowiem miał się rozpocząć wieczorek taneczny.

Jurek zaproponował, aby trochę potrenować w języku angielskim. Hanka chętnie na to przystała. Rozumiałem piąte przez dziesiąte, chociaż Szekspir zapewne by się w grobie przewrócił, gdyby słyszał, jak kaleczą jego język. Znudziło mnie to w końcu, ale ani rusz nie mogłem ich namówić na polszczyznę. Machnąłem ręką zrezygnowany i już chciałem przenieść się do innego stolika, gdy odciągnął mnie na bok Rysiek i półszeptem zapytał: — Co to za babka?

Nie wiem, co mi przyszło do głowy, bo do Prima Aprilisu jeszcze było daleko, ale błyskawicznie odpowiedziałem: — — Szwedka. Będzie studiować w Lublinie. — A po polsku ona trochę kapuje? — Bardzo mało. „Dzen dobry, dzenkuje". — To niewiele. Szkoda, że nie znam angielskiego...

Rysiek zniknął, ale wieść się rozniosła, bo za chwilę zjawił się Wojtek.

— Zapoznaj mnie z tą Szwedką!

Hanka łatwo dostosowała się do nowej roli. Wojtek też nie władał angielskim, toteż Jurek musiał zabawiać się w tłumacza. Ponieważ pytania były banalne, nie napracował się zbytnio. Gdy orkiestra zaczęła grać, Wojtek, znany podrywacz, szybko porwał Hankę do tańca.

Tymczasem wymyśliliśmy z Jurkiem imię i nazwisko dla naszej „Szwedki", Sigrid (!) Jacobson. Brzmiało to bardzo ładnie dla ucha. Wymyśliliśmy w samą porę, bo po chwili Wojtek wyciągnął notes chcąc zapisać personalia naszej koleżanki. Jurek dyktował: „Sigrid Jacobson, Stockholm, 45 Karol Gustav Street". Na prośbę o telefon lubelski „Szwedki" podał numer... seminarium duchownego.

Zabawa rozkręcała się coraz bardziej, bo dosiadł się do nas Robert. On już próbował sam klecić zdania po angielsku, co wyglądało mniej więcej tak: — Szi dans? Plis. Ile jer her? (to było pytanie o lata). Sztokholm gut? Spik ju poland? Ponieważ przed „przetłumaczeniem" każdego zdania mówił je po polsku, Hanka i my wszyscy wiedzieliśmy o co Robertowi chodzi. Hanka odparła więc, że Sztokholm jest pięknym miastem, tylko że ma za dużo bezdomnych kotów. Bardzo interesujące są noce polarne. Lubi wówczas wyjść na molo. Niestety, nad wodą grasują dokuczliwe komary, które przynoszą malarię. Każdy Szwed kilkakrotnie w ciągu roku zapada na tę chorobę.

Jurek wszystkie te brednie tłumaczył z kamienną twarzą, tylko malaria poplątała mu się z kokluszem, ale nikt tego nie zauważył, bo wszyscy byli zafrapowani opowieścią. Gdy orkiestra zaczynała grać, Wojtek i Robert błyskawicznie zrywali się z miejsc prosząc „skandynawskiego gościa" do tańca. Omal nie pobili się używając dość frywolnego języka. No bo skoro Szwedka zna tylko słowa „dzenkuje" i „dzen dobry", nie trzeba się krępować...

Nie wiem, co by było dalej, gdyby nie pies, którego przyprowadził Kazik. Pies prezentował się bardzo sympatycznie, szalał po sali, wskakiwał ludziom na kolana. Nie ominął i Hanki, która krzyknęła — O, Boże! Złaź kundlu!

W Wojtka i Roberta jak by piorun strzelił. — To pani jest Polką? — wykrzyknęli równocześnie. A potem szybko wrócili na swoje miejsca spoglądając na nas z wyraźną dezaprobatą.

Znów zostaliśmy w trójkę. Nikt nam nie przeszkadzał. Nikt Hanki nie prosił do tańca. Przestała być „c u d z o z i e m k a"...

Panie Redaktorze! Ten felieton ma głęboką wymowę dydaktyczną. Starałem się w nim udowodnić, że warto uczyć się obcych języków i że warto też uczyć się geografii. Nie wolno natomiast wpuszczać do w miarę ekskluzywnego klubu nawet najbardziej sympatycznych kundli, ponieważ psują one całą zabawę.

Jacek

P.S. Wojtek i Robert mogą się nie zgadzać co do pewnych szczegółów wyżej opisanej historii. Wszelkie uwagi proszę kierować pod adresem: Sigrid Jacobson, Sztokholm, ul. Karola Gustawa 45. Może przy okazji panna Jacobson zaprosi ich do Szwecji?

NOTY i notki

„Ciekawe, kto zacznie w Lublinie?" — tymi słowami zakończyłem jedną z noż w nr 1, relacjonując gwałtowne polemiki pomiędzy „Argumentami", „Polityką", „Życiem Warszawy", „Faktami i Myślami" oraz „Współczesnością". No i po przeszło dwóch miesiącach zaczęło się także w Lublinie. Najpierw Lesław Gnot w „Kurierze Lubelskim" zarzucił oddziałowi ZLP, że nie dba o swoich członków, potem prezes tego oddziału Zygmunt Mikulski w „Sztandarze Ludu" odpowiedział dosyć gwałtownie i z nazwiskami. No i chociaż bohater obu felietonów wyszedł na całej sprawie najlepiej, to osobiście nie mogę odżałować, że polemika już się skończyła. Znowu zapanował spokój.

Może zresztą tylko pozorny? Oto znowu w „Kurierze Lubelskim" (nr 63) pięć pań wystąpiło przeciwko informacjom, publikowanym w tymże „Kurierze" na marginesie jubileuszu wielce zasłużonego chóru „Echo". „Uważamy informacje podawane przez zarząd „Echa" za fałszowanie historii... Tego rodzaju działalność zarządu „Echa" jest szkodliwa...". Chodzi zaś o konsekwentne pomijanie zasług poprzedniego kierownika artystycznego, Tadeusza Chyły.

Wojciecha Giełżyńskiego chyba zanadto poniosła fantazja. W nr 11 „Dookoła Świata" zamieścił piękny artykuł o Kambodży, nawiązując do swojej podróży do tego kraju przed trzema laty. Pisząc o napadach wojsk amerykańskich na Kambodżę, stwierdza m. in: „Nawet brzeg morza nie jest spokojny, piraci i stamtąd strzelają do rybackich wiosek. Wyobrażam sobie oburzenie w zachodnim świecie, gdyby podobnie wyglądała sytuacja na granicach równie neutralnej Szwajcarii"... Dobrze jest znać dalekie kontynenty, ale chyba trzeba zacząć od własnego, jako że w Szwajcarii nie ma wiosek rybackich, co jest konsekwencją itd.

W prasie warszawskiej ukazały się ogłoszenia, w których Wojewódzki Inspektorat Kontroli Materiału Siewnego poszukiwał wykonawcy 33—40 milionów plomb z białej blachy angielskiej. Wynika z tego, że w stołecznym Inspektoracie Kontroli przez cały rok coś się plombuje co piątą część sekundy. Też swoistego rodzaju biurokracja, nie mówiąc o marnotrawieniu białej blachy angielskiej.

Niby potępiamy pijaków, a jednak stajemy się wobec nich coraz bardziej delikatni. Oto jak określa upijanie się reporter sądowy „Nowin Rzeszowskich" (nr 61): „wprowadzał się w stan nietrzeźwości".

Nie można powiedzieć, aby nasza telewizja grzeszyła nadmiarem szybkości. „Pejzaże" zrelacjonowały białostocki Festiwal Muzyki i Poezji dokładnie półtora miesiąca po jego zakończeniu. Optymiści powiadają, że to i tak wyjątkowo szybko.

Protestuję! Jak doniosła „Gazeta Białostocka" (nr 56) tamtejsze MPK zamierza zlikwidować automaty, sprzedające bilety w autobusach. A to dlatego, że ludzie wrzucają do nich m. in. forinty, korony, fenigi, kopiejki, a nawet monety chińskie, włoskie i hiszpańskie. Proponuję białostockiemu MPK, aby zawarło porozumienie z wydziałem dewizowym NBP oraz towarzystwem numizmatycznym — bowiem może się okazać, że interes wcale nie jest deficytowy.

Nocne życie w Kielcach nabiera nowych form. Jak donosi „Słowo Ludu", klienci hotelu „Centralnego" budzeni są telefonem, przez który jakiś dziewczęcy głosik proponuje: moja koleżanka jest taka nieśmiała, ale chciałaby się z panem zobaczyć, może więc zaraz przyjdzie... Co publikuję w nadziei, że tegoroczny sezon turystyczny w tym rejonie będzie bardzo ożywiony. A swoją drogą, skąd te panienki wiedzą, w których pokojach nocują mężczyźni, w których kobiety, a które są puste?

JOD

FELIETON Z REZERWY

Prywata

CORAZ częściej znajdujesz ochotę i okazję do połajanek wobec „naszej młodzieży", a równocześnie skłonny byłbyś podnosić zasługi własnej, rzekomo sprawiedliwej, młodości. Znaczy, że jesteś już całkowicie ustabilizowanym i dorosłym obywatelem, trochę jakby zmarniałym, przeważnie pracującym i w dodatku przeważnie rodzicem.

Czy dorosły obywatel to zawsze dojrzały człowiek — kwestia inna. W każdym razie biadolimy nad latoroślą i często nawet mamy rację, aczkolwiek często w ten przedziwny sposób neutralizujemy tęsknoty za utraconą krainą naszych młodzieńczych nadziei i sprzeciwów, która teraz wydaje nam się lepsza, bo sami byliśmy wówczas lepsi, a przecież młodsi. Najczęściej wszelako razi nas i n n o ś ć młodocianej generacji. Ośmielam się na przykład przeczuwać, iż nadejdzie pokolenie i czasy, kiedy sprawa stałości i wyłączności seksualnej partnerów straci na znaczeniu, albowiem dobrowolność, kultura i atrakcyjność wzajemnego obcowania będzie tutaj przede wszystkim uznawaną płaszczyzną, a nie rygorystyczna stałość i wyłączność, bo te rzeczy mogą, choć, oczywiście, nie muszą, się wykluczać. Zapewne i wtedy znajdą się starsi malkontenci, rodem z innej epoki, skłonni piorunować na „rozpustę".

Czy jednak obecni „nastolatkowie" to akurat w tej dziedzinie już brzask całkiem odrębnej generacji i całkiem innego czasu? Śmiem wątpić, gdyż owe kwestie nie zmieniają się tak radykalnie w obrębie dwu, trzech pokoleń. A już z pewnością nie warto wierzyć „nowoczesnym" old-boyom i old-girlsom, w zapale mamroczącym o „atomowej moralności". Póki istnieje w naszym słowniku termin „zdrada małżeńska", póty stałość i wyłączność seksualną uznajemy jako obowiązującą społecznie n o r m ę, i choćbyśmy nie wiem jak ją łamali, to zawsze z poczuciem negatywnej zależności, skąd nic dobrego, a w każdym razie nic nowego, wyniknąć nie może. Prosta opozycja — jak widać — też jest związkiem, czasem nawet silniejszym niż zgoda, co trzeba zadedykować także „zbuntowanej" latorośli.

Więc częściowo słusznie postponujemy młódź naszą. Tyle, że o sobie samych łatwo przychodzi nam zapominać. Wszak na świecie są jeszcze sprawiedliwi. Myślę o niejakim Aleksandrze Duniewiczu, który w piątym numerze „Kameny" sprawę obyczaju dorosłych tknął, i dobrze zrobił, choć nie we wszystkim, ot na przykład nie w kwestii żon i mężów podczas — jak powiada — „przyjęcia towarzyskiego". Latorośl nazywa podobny jubel „prywatką". Dla odróżnienia imprezy dorosłych rezerwuję zatem termin mniej zdrobniały — „prywata".

Mam wrażenie, iż Duniewicz gościł na spotkaniu całkiem zmarnowanych ramoli, których nawet zasadnicze narodowe uciechy znęcić już nie mogą. Albo, co pewniejsze, wpadł w tzw. kulturalne towarzystwo zazwyczaj dość wysoko postawionych i różnorako „oficjalnie" powiązanych person, które przynajmniej w bezpośrednim kontakcie muszą trzymać fason, hamując temperamenty i kiełznając upodobania. Ja natomiast, dopiero zresztą wstępujący wiekiem w rejony średniej generacji, jestem — szczerze mówiąc — żadna osobistość „powiązana", dobieram towarzystwo podobne sobie i w takim usiłuję się bawić. Stanowię przeto niejako socjologiczny wyznacznik przeciętnej polskiej prywaty.

Szlachetna bezinteresowność moich kontaktów dozwala mi oglądać obrazki towarzyskie bardziej krwiste i bardziej autentyczne, nikt bowiem nie musi specjalnie niczego udawać, tj. fasonu trzymać. Że w czasie prywaty piją, a pijąc, nadużywają. No to co? Żaden prorok nie zawrócił jeszcze tej wezbranej rzeki narodowego obyczaju. Kwestia tylko, co się po owym nadużyciu w ludziach objawia. Znam na przykład jegomościa, który gdy nadużyje, kładzie się z pomocą koleżeństwa grzecznie spać, chyba że go ktoś przedtem rozdrażni... Nazajutrz bierze kąpiel, zakłada czystą koszulę i po dokładnym goleniu czuje się wyleczony nie tylko z kaca fizycznego, lecz również oczyszczony z moralnego. Za tym wszystkim tkwi jakaś jeszcze pogańska mitologia zmywania grzechów wodą co potem chrześcijaństwo pięknie usankcjonowało poprzez wprowadzenie chrztu. Lecz ów przypadek nie wydaje mi się ani ciekawy, ani charakterystyczny.

Widywałem o wiele bardziej dynamiczne scenki prywatowe. Niech no tylko wraz z kolejnym „półlitrem" obluzuje się reszta towarzyskiego konwenansu. Wtedy spokojny zazwyczaj buchalter Kowalski, nota bene pantoflarz i — jak powiadają wtajemniczone — nie najtęższy w t y c h sprawach, przemienia się w demona erotycznego zniszczenia i męskiej tężyzny, co demonstruje między innymi w upojnym tangu z Malinowską. Małżonek rodzony owej Malinowskiej lula na kolankach żonę Kwiatkowskiego. Kwiatkowski zaś umawia się z Kowalską na stałe i regularne kontakty pozamałżeńskie, zadatkując to demonicznym ust zbliżeniem, na co z kolei patrzy spokojnie, bo udaje że nie widzi, Kowalski oraz Malinowski, którzy to panowie przed chwilą dali sobie po razie po buzi, nie o Malinowską bynajmniej, o nie, tak sobie, dla wyładowania męskich żywiołów. Im ciemniejszy kąt mieszkania, tym więcej zaawansowane są owe różnorakie awanse i wymiany towarzyskich świadczeń, ale i w jasnym świetle żarówek sam gospodarz robi co może, usiłując wykonać stójkę na ścianie, bo coś mu szepce, że to podłoga. Gospodyni zaś w gronie przyjaciółek opiewa topografię mężowskiej anatomii, analizując i usterkując rozmaite detale, no i jak on t o nieudolnie robi.

A potem państwo goście, już w ślubnych zestawach, wędrują do domciu. Co sobie mają do powiedzenia szlachetni małżonkowie po drodze, co sobie w ogóle mają do powiedzenia? Rankiem pobiegną do pracy, ona na przykład wzorowa urzędniczka, on przodujący na przykład inżynier. Ale jest jeszcze od odegrania taka jakby powszednia prywata w domowych pieleszach: on gburliwy „czytaciel" prasy w rozmemlanym dezabilu, ona krzykliwa „maruda" w szlafroczku, obmyślający kolejne rewanże w podjazdowej wojence toczonej między sobą na co dzień. Wesoła to rzecz taki Romeo w kalesonach i Julia w przydeptanej podomce. Co ich łączy, kiedy skończyła się „miodowa" atrakcyjność? Z pewnością to, że p o s i a d a j ą wspólne M-3, telewizor, dziecko, odkurzacz, lodówkę, prodiż i elektryczny młynek do kawy, że planują posiąść radio-adapter, magnetofon i samochód. No cóż, od człowieka nie wolno za wiele wymagać, sam potrafi pielęgnować „nowoczesną" kulturę uczuć, sztukę obcowania z najbliższym partnerem, umiejętność budzenia szacunku do siebie.

Pociej

Odpowiedzi redakcji

J. L.-Z. w Poznaniu. Jest Pan człowiekiem wrażliwym — to pewne i to pierwszy warunek, żeby myśleć o sobie jako liryku. Ale żeby być poetą, trzeba jeszcze umieć „opakować" swoją wrażliwość w odpowiednio sugestywny nowoczesny język. Tymczasem u Pana za wiele jest bezpośrednich emocjonalno-patetycznych zwrotów, które mają złą tradycję literacką. Sztuka liryczna dziś polega m. in. na tym, by słowem dyskretnym a prostym sugerować najtrudniejsze i najwznioślejsze uczucia ludzkie. „Słowo proste" nie oznacza przy tym: słowo banalne, potoczne, choć i to próbowano do poezji wprowadzać. Cieszylibyśmy się, gdyby ta skrótowa odpowiedź choć trochę Panu pomogła, bo mimo wszystko uważamy, iż powinien Pan dalej pisać.

A. F. w Gdańsku. Podoba nam się — już nawet w kategoriach „publikacyjnych" rzecz traktując — **„śmierć", „obraz", „człowiek"**. Czyli podobają nam się te Pani próby, w których znać umiejętność „zamykania" wcale nie banalnej refleksji w oszczędną (mimo świadomych powtórzeń) formułę poetyckiego słowa. Przy takim rodzaju poezji owa oszczędność jest jeszcze bardziej potrzebna niż przy eksponowaniu „czystych" przeżyć emocjonalnych. Chyba powinna Pani nadal pisać w tym trybie, bo istnieją sensowne perspektywy pracy nad sobą.

M. C. w Świnoujściu. Zamieniamy Pańską niepewność w pewność: wiersze istotnie nie mają **„większej wartości z literackiego punktu widzenia"**. Gdybyśmy się nie obawiali, że urazimy Pańskie niewątpliwie szczere i głębokie uczucia, jakie „stoją" za tekstami, to powiedzielibyśmy, że można wierszyki skrócić i potraktować jako teksty piosenkarskie. Ze współczesną poezją nic to wszystko nie ma wspólnego. A może by Pan napisał i przesłał jakiś reportaż morski? Oczywiście bez ciągniętej za uszy egzotyki, lecz z pokazaniem trudnych spraw ludzi morza.

R. R. w Łodzi. Jest Pan już autorem publikowanym i słusznie publikowanym, bo mającym talent prozatorski. Nie zamierzamy więc niczego „radzić". Z tekstów jednak nie skorzystamy. Wobec znanych Panu zapewne, ogólniejszych a bolesnych faktów **„Self made man"** zabrzmiałby dziś fałszywą dwuznacznością, na czym chyba Panu nie zależy, natomiast drugie opowiadanie, mające wyraźną i zabawną aluzję literacko-personalną, lepiej „zabrzmiałoby" opublikowane właśnie w Łodzi, sam Pan wie, dlaczego. Tak to rzeczywistość pozaliteracka decyduje czasem o tzw. wymowie tekstu artystycznego. Radzibyśmy otrzymać od Pana inne utwory.

R. S. w Mielcu. Wypadek z Panem (Panią) dość typowy, dlatego odpowiadamy. Już nie idzie nam o uciążliwą dla redakcji kwestię nieczytelnych rękopisów, nie idzie też o brak jakiejś choćby ogólnikowej informacji o sobie, idzie natomiast o brak pełnego imienia i nazwiska pod wierszami. Na co więc Pan (Pani) liczy? Gdyby wiersze były dobre, tak zresztą nie jest, to mimo wszystko nie mogłyby być anonimowo opublikowane. Chyba że oczekuje Pan (Pani) na jakieś wyrazy zachwytu z naszej strony i prośby o łaskawe ujawnienie danych osobowych. To nam wygląda na kobiecą kokieterię. Pozdrawiamy Panią i jej podobnych.

S. C. w Rzeszowie. Kwestia wolności ludzkiej, w pewnym okresie przez nauki humanistyczne ujmowana negatywnie, doczekała się ostatnio „pozytywnego" renesansu. Dobrze więc, że zajął się Pan tą sprawą. Z publikacją trudno jednak będzie, bo artykuł napisany został zbyt „sejentyficznie". Mierzy Pan raczej w pismo ściśle fachowe, a nie w „Kamenę", która musi dbać o publicystyczną dostępność materiałów. To zresztą nasza stała bolączka przy współpracy z fachowcami. Nieśmiało proponujemy, aby Pan jednak gruntownie przeredagował artykuł pod kątem wysuwanych przez nas sugestii.

W. M. S. w Olsztynie. Fraszki bardziej się nadają do żołnierskiej satyrycznej gazetki niż do naszego pisma. A najbardziej pasują do ustnego rozpowszechnienia wśród kolegów. Ot choćby taki tekścik: **„Przewrotność motyla — zapyla i... spyla"**. Z męskim uściskiem dłoni — pozostajemy...

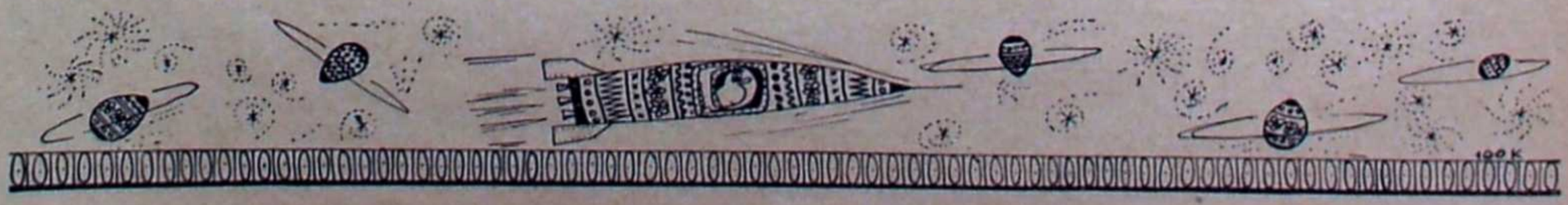

Rys. A. Stok